WIENIEC

PISMO DODATKOWE

DO

GAZETY WARSZAWSKIÉJ

POŚWIĘCONE LITERATURZE.

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie
Tych wonią serca pieszczę, tych się barwą zdobię.

TOM VI.

MIESIĄC WRZEŚIEN

WARSZAWA

1839

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj

GRETNA-GREEN,

Z najżywszą niecierpliwością oczekiwałem naznaczonéj godziny schadzki, układałem plany jeden bardziéj awanturniczy jak drugi. Ale od jednego żadnym sposobem oderwać się nie mogłem. Od dawna James mówił o jakiéjś podróży do Szkocji, o ślubie w Gretna-Green, jako pospolitym

bardzo zwyczaju w Anglji. Zaślubiny te są podług ustaw angielskich, prawomocne, dla czegóż więc lube usta Elizy miałyby się wzbraniać wymówić przysięgę w Gretna Green, przysięgę którąby gdzieindziéj z chęcią wykonała? któżby śmiał to naganiać, gdybym chciwość baroneta na jaw wykrył.

W tych rozmyślaniach wieczór mnie zaskoczył. O w pół do siódméj byłem na miejscu umówioném, przechodząc Hay-Market od jednego końca do drugiego. Błyszczące światła przebijały zaledwie gęstą mgłę która miasto otaczała. Czekałem do w pół do osméj i już zacząłem wątpić czy zobaczę posłańca o którym mi list doniosł, gdy spostrzegam młode dziewczę, okryte płaszczem i zupełnie mi nieznane, które w przechodzie swoim na mnie patrzyło z boku. Zwróciłem się i gdym widział że i ona się powraca, osądziłem że ją trzeba zaczepić.

— Amour, rzekłem.

— Confiance, odpowiedziała i dodała, pójdź pan za mną.

Byłem posłuszny. Przyśliśmy do Piccadilly i wsiedli do fiakra. Przewodniczka rzekła, że się nazywa Jenny i że jest pokojówką Elizy.

Opowiedziała mi że baronet i jego siostrzenica opuściwszy Londyn udali się do starego zamku w głąb Irlandji, że ważna okoliczność zmusiła sir Willjamsona przyjechać napowrót do Londynu, gdzie kilka dni zabawić zamyśla;że on dla uniknienia odwiedzin zajechał w bliskości ogrodu Kensington i że Eliza prawie od wszystkich ludzi w domu jest strzeżoną. Że nawet ona w téj sprawie piękne podarunki otrzymała; ale tknięta losem swojéj pani, chce wszystkiego sprobować, aby ją z tej okropnéj niedoli wydzwignąć; i dla tego korzystając z nieobecności baroneta, zmusiła prawie Elizę aby zezwoliła na moje przybycie.

—Jenny,tu jest bilet bankowy na dziesięć funtów, bądź mi daléj pomocną. Jeżeli dostąpię tego szczęścia, że Elizy mężem zostanę, dostaniesz jeszcze takich sto.

Przybyliśmy do krat ogrodu Kensington, gdzieśmy się zatrzymali. Zapłaciłem fiakra i po dziesięciominutowém chodzeniu przybyliśmy do małéj furtki od ogrodu, którą moja przewodniczka zapomocą dużego klucza otworzyła.

— Kto tam? zawołał głos mocny z małéj budki przy fórtce.

— To ja jestem, naster Tom —nie bój się pan

dodała do mnie cichem głosem, to nasz ogrodnik, który chory w łóżku leży;

— Zamknęłaś dobrze, Jenny?

— Zamknęłam, master Tom.

Zwróciliśmy się do głównego zabudowania gdzie byli służący. Alejami z bzu, leszczyny i abłonek, dostaliśmy się do zielonéj altany z gęstych konarów lip utworzonéj, w któréj była ławka z darniny.

Zostań pan tu, rzekła Jenny, za chwilę przyjdę po pana.

Udała się do głównych schodów, zadzwoniła i znikła. Korzystałem z mojéj samotności aby przytrzéć się dobrze miejscu w którém się znajdowałem. Dom którego białość przebijała mgłę, był o dwóch piętrach i parterze. Aż do pierwszego piętra gdzie był balkon, były szpalery przy ścianach. Widziałem światło w iednym pokoju co na balkon wychodził i dwie kobiety, których cienie daleko w ogród się rozciągały. W chwilę potém, wzbudził moję uwagę szelest drzwi któremi Jenny się oddaliła.

— Pst, pst, — panie Edwardzie! to Jenny.

— Jestem tu.

— Cicho! wszyscy służący są w kuchni; zamknęłam sień, niczego się nie domyślą, ale najmniejszy hałas mógłby nas zdradzić.

Jenny wzięła mnie za rękę, aby mnie prowadzić. Gdy byliśmy na górze i stanąłem przed drzwiami gdzie światło widziałem, musiałem się na chwilę zatrzymać dla nabrania tchu. Drzwi się otworzyły, zobaczyłem ją! tę którą kochałem.

Co doświadczyłem zobaczywszy ją, trudno opisać. — Biedna Eliza — tak blada i wycieńczona.

— Edwardzie rzekła, przecież cię znowu widzę! Głos jéj zawsze był jeszcze słodki, uśmiech tkliwy, a wzrok nic nie utracił dawnéj łagodności.

—Tak jest, to ja, zawołałem rzucając się jéj do nóg, który cię kocha i dla którego cierpisz.

Posępność jej twarzy wyjaśniła się na te słowa a oczy zabłysły promieniem radości.

— Ta jedna chwila, rzekła, każe mi wszystko zapomnieć.

Tysiącznemi całusami okrywałem małą śnieżną

rękę którą zostawiła w moich; wstałem, zaprowadziłem ją na sofę i usiadłem. Nigdy jeszcze nie wydawała mi się tak piękną. Bladość jéj twarzy dawała tym delikatnym rysom rozczulający wyraz który do duszy się cisnął.

Rozmawialiśmy o tém co tylko miłość ma najczulszego i najtkliwszego, a gdy nam wyrazów zabrakło, spojrzenia nasze dokończały myśli. To milczenie zatapiało mnie w tak słodkie upojenie, że radbym z wlepionym wnią wzrokiem całe życie przepędzić. Napawałem się szczęściem którego dotąd nie koższtowałem, gdy nagle turkot pojazdu uderzył nasze uszy. Pojazd zatrzymał się przed sienią. Jenny wpadła zadyszana i rzekła:

— Baronet powrócił! — piorun nie zrobiłby tyle wrażenia co te słowa. Drżąc, ukryła Eliza twarz w swoich rękach, gdy usłyszała kroki baroneta na schodach. Zdawał się prosto do tego pokoju zmierzać gdzieśmy byli.

Ale Jenny przyszedłszy z pierwszego przestrachu do siebie, otworzyła drzwi gabinetu ktory dotykał pokoju.

— Tu za mną, rzekła wyprowadzając mnie,

i zamknęła drzwi za sobą. W chwilę potém słyszeliśmy baroneta jak wszedł.

— Cicho, szepnęła Jenny, albośmy zgubieni.

— Nie byłaś samą, zapytał baronet siostrzenicy.

— Jenny jest w gabinecie.

— Dla czego to pomięszanie? Po co te łzy? czy nie płyną one jeszcze po twoim czułym kochanku?

— To jest niegodziwie, rzekła młoda dziewica z gniewem, że pan nadużywasz swojego położenia aby mnie dręczyć.

— Dajmy temu pokój, panno siostrzenico; nie po to tu przyszedłem aby słuchać twoich wymówek, objawiłem ci moje widoki i chcę żebyś się do nich zastosowała.

— Mój wuju, odpowiedziała dziewica z spokojną godnością, te ostre wyrazy nie uczynią mnie podległą twoim życzeniom. Szanuję mojego kuzyna, ale nie mogę go wybrać za małżonka, bo moje serce już do mnie nie należy.

— A gdyby ten któremu oddałaś serce, oszukiwał ciebie, gdybym ci okazał że jest żonaty.

— Cicho, na miłość Boga, szeptała Jenny po-

znawszy z drżenia mojéj ręki, wewnętrzną moją gotowość do wybuchu, pomnij pan na twoją kochankę.

— Oto masz, czytaj: Nie zechcesz mnie zapewne obwiniać że ja ten list ułożyłem, ma znak pocztowy z Paryża. Jest on od sir Johna Liar, którego znasz, i ktorego ja prosiłem aby mnie zawiadomił o młodym człowieku którego kochasz, i jego rodzinie. Oto go masz, czytaj. Zostawiam cię samą, abyś po przeczytaniu nad przyszłém twojém postępowaniem zastanowić się mogła.

Gdym wyszedł z gabinetu, zastałem Elizę łzami zalaną. List który trzymała wypadł jéj z rąk a oczy przepełnione śmiertelną obawą zwróciła na mnie! podniosłem list, zawierał on co następuje.

Paryż, 18 Kwietnia 183...

Drogi baronie!

Młody ten człowiek o którym się dowiadujesz jest bardzo znanym w Paryżu ze swoich długów, i wyroków na jego uwięzienie które mają jego wierzyciele, ale znaczny odebrał spadek i zaraz się ożenił.

Nie mogłem daléj czytać; z wściekłości pogniotłem list.

— To jest niegodziwa potwarz! wuj twój jest oszustem! Nie jestem żonaty, a moje serce Elizo, nigdy ani na chwilę nie przestawało cię kochać.

Te słowa sprowadziły nowe życie w jéj rysach, a oczy nowym blaskiem zajaśniały.

— Mówiłem daléj: Niegodne postępowanie twojego wuja, gwałt który twoim uczuciom czyni, wyłamuje cię z posłuszeństwa które wianaś jemu jako siostrzenica i pupila. Jeżeli mnie kochasz, Elizo, to przyrzecz mi że pojedziesz zemną do Gretna Green, gdzie ci moją rękę nazawsze oddam. Wiesz, że ustawy twojego kraju podobne związki za prawomocne uznają.

Żywy rumieniec wystąpił na twarz Elizy; chciała mówić, ale słowa konały na jéj ustach. — Droga Elizo, rzekłem znowu przyciskając ją do mojego serca, powierz się mojéj miłości.

— Edwardzie, rzekła słabym głosem, schylając głowę na moje ramiona, pojadę z tobą, bo czuję że nowego rozłączenia zniesćbym nie mogła.

— Zajęliśmy się więc planem naszéj ucieczki.

Zgodzono się że Jenny odda mi klucz od furty ogrodowéj i nasza ucieczka będzie miała miejsce pojutrze o godzinie 3 rano. Gdy wszystko było już ułożone, Eliza nalegała na mnie abym się oddalił, obawiając się aby baronet nie przyszedł dowiedzieć się o skutku listu. Uściskałem ją jeszcze raz i zabrałem się w drogę przez okno. Z balkonu dostałem się na szpalery, a gdym już był na ziemi, usłyszałem te słodkie wyrazy: „bądź zdrów przyjacielu" Opuściłem ogród przez furtkę od któréj miałem klucz od Jenny i wróciłem do domu.

Nazajutrz zaopatrzyłem się wskrytą latarnię i w parę pistoletów, i gdy nadszedł wieczor, udałem się do O'Wella do którego zrana pisałem, żeby mi wykonaniu moiego planu dopomógł. Nie zastałem go w domu, ale oddano mi list od niego który tak brzmiał:

Kochany Edwardzie.

Czekałem na ciebie do 7 wieczor. Ale gdy nie przybyłeś a ja jestem na wyborną ucztę proszony w *l' énfer* ulica Pall-mall przeto zostawiłem ci list w którym znajdziesz bilet wstępny, abyś mógł pójść za mną. Ale muszę cię u-

wiadomić, żebyś trzy razy do drzwi zapukał, zoztawiając między pierwszém a drugiém uderzeniem znaczny przestanek. Rodzaj teu pukania jest tylko zwyczajnym gościom wiadomy i służy za ochronę domowi temu od nie proszonychgości.

Porzuciłem grę od czasu jak byłem zakochany,miłość strawiła namiętność gry, która i tak mi bardzo była wkorzenioną. Jednakże musiałem się z O'Wellem widzieć, aby się z nim naradzić.

Te przyczyny i rodzaj ciekawości skłoniły mnie udać się na ulicę Pall-Mall, gdzie był dom ów zwany *eufer* Domy gry które w Londynie nazywają *l' enfers* nie mogą pod względem zbytku iść z domami gier w innych krajach w porównanie, i urządzenie podobnych miejsc bynajmniéj na podobny tytuł uie zasługuje. Szulernia o któréj mówię, była w najpiękniéjszym domu w połowie ulicy Pall-Mall. Facjata jego była wspaniała, ozdobiona kolumnami, drzwi bronzowe przy których był młot służyły za wejście. Zapukałem trzy razy jak mi James powiedział. Drzwi się otworzyły i dwaj słu-

żący w okazałej liberji wprowadzili mnie do sieni. Skoro się dowiedziano kto ja byłem, przeprowadzono mnie przez obszerny salon do drugich mocno zamkniętych drzwi. W środku drzwi na wysokość rosłego mężczyzny było okienko. Na straży będący wewnątrz, otworzył okienko żądał na nowo widzieć mój bilet i dopiero wtenczas otworzyły się podwoje które z trzaskiem zaraz się za nami zamknęły. Teraz dopiero wszedłem na schody osłonięte szeroką ścieszką z dywanów, przyszedłem znowu do drzwi gdzie musiałem się zatrzymać, nakoniec przeszedłem przed czwarte drzwi, tu musiałem wyjawić moje nazwisko i okazać kartę— tak jak przy poprzednich trzech drzwiach.

Przyznam się że te środki ostrożności i to inkwizytorskie obejście, jakiego względem mnie używali ci wszyscy strażnicy, tak mało wzbudziło we mnie zaufania, że z całego serca chciałem powrócić. Ale nie miałem już przed sobą żadnych przeszkód, bo piąte drzwi bezpośrednio prowadziły do sali zabawy. Zbytek i przepych jaki tu widzieć się dawał, były godne panującego księcia. Złoto, hafty, kandelabry, żyrandole i wiszące lampy, z kryształu szlifo-

wanego, tudzież kosztowne obrazy, olśniały oko po wszystkich stronach.

Towarzystwo zajmujące tę salę składało się z ludzi światowych i dobrego tonu. Poznałem kilku mężczyzn i nie mniéj kobiet pierwszego rzędu, członków parlamentu, akcjonarjuszów kompańji indyjskiéj, pisarzy i moralistow. Ale też pośród tego wykwintnego tłumu postrzegłem także ludzi, których wymuszone obejście, i czcza, dziwna mowa, zdradzały handlarzy koni, albo mekierów, chociaż ubrani byli podług najświéższéj mody, jakby ludzie wyższego tonu i znaczenia.

Wszedłszy ujrzałem O'Wella idącego przeciw mnie. Objawiłem mu moje plany; pochwalił je zupełnie i przyrzekł pojechać razem. Rozmawialiśmy jeszcze przez niejaki czas, wtém wszedł lokaj meldując że obiad już na stole, a my udaliśmy się bezzwłocznie na miejsca. Obiad objawiał bogactwo gospodarza, i talent kuchmistrza. Najwyszukańsze potrawy zastawiono nam. O kwandrans na dziewiątą dano deser, i postawiono mnóstwo butelek wina Porto, szampańskiego i Madery. Wniesione to-

asty ożywiły wesołość rozmowy, tak że najdowcipniéjsze myśli ulatywały bez przestania nad stołem. Mówiliśmy o grzeczności, literaturze, polityce, teatrze. Nakoniec nasz Amfitrio wymówił wyraz „gra“ wstaliśmy i przeszliśmy do salonu przytykającego do sali jadalnéj. Przepych i wspaniałość tego salonu, miały coś bardziéj jeszcze magicznego. Sufit zręczną ręką powleczony był purpurą zachodniego słońca, naśladowaną do najwyższego stopnia złudzenia. Wszędzie napotykało oko meble machoniowe, i indyjskiego drzewa, ogromne zwierciadła, kobierce, złote kandelabry, i bogate draperje, ułożone z najwyszukańszym smakiem. W pośrodku stał stół do gry, na którym leżały stosy gineów i bankocetli. Trzéj bankierowie zbierali pieniędze od poniterów, albo wypłacali wygrane, czwarty ciągnął karty, podczas gdy krupjerowie postawieni w rogach stołów doglądali stawek.

Grano *trente et quarante*. Postawiłem suwerena na kolor czarny; ale przegrawszy zaraz przy pierwszym obiegu trzydzieści cztery, opuściłem stół i udałem się do salonu na

rulétę przeznaczony. Już walec był w ruchu i słyszano słodkie zdradliwe słówka bankiera. Stan podchmielenia wszystkich prawie grających sprawił to że zakłady szły z nadzwyczajną szybkością. Ale o wszystko miano staranie, gdy gracze wyczerpnęli swoje kieszenie, a znano ich fundusze, wtedy worek gospodarza otworzył się dla niech i brali z niego co im się podobało.

Ruleta jeszcze nigdy mnie nie uwiodła, nawet w świetnych moich dniach w Paryżu. Opuściłem stół nie postawiwszy jednego suwerena. Na chwilę zatrzymałem się przy grze w kostki, i udałem się do gry *Biribi* która aczkolwiek w kącie sali ruletowéj się odbywała, nie miała jednakże mniéj amatorów jak poprzedzające. Urządzenie tu było zupełne, nic nie brakowało; nawet w salonie były przeznaczone miejsca na *ecarte*, *wista* i *bouillte*. Gra jest to potok czarodziejskiej siły, moc i słabość, mądrość i głupstwo młodość i starość, podług zdania pewnego, filozofa, — wszystko porywa z sobą, co tylko co biegu zachwyci. Zaledwie człowiek przybliży się do tego fatalnego zielonego stołu, gdy go moc pociągająca, przeciwko któréj napróżno walczyć

się stara i któréj nie może przewidziéć, wtrąca w odmęt z którego się już nie wyratuje. Tak i ja, pomimo mocy którą mniemałem mieć nad sobą, usiadłem do *ecarté* gdzie O'Well grał z kilku innemi w zamiarze puszczeniu kilku funtów. Stawki były znaczne, ponure milczenie przerywał tylko szelest kart. Już znaczną kwotę przegrał James, przegrał i partją do któréj i ja należałem; takiż był rezultat czwartéj i piątéj partji, szóstą grał pomimo mojéj rady *in dublo*, i tę przegrał.

Nieszczęście takie wprowadziła mnie w rodzaj złego humoru, bo prawie dwadzieścia suverenów przemaszerowało z mojéj kieszeni do przeciwnika Jamesa. Zacząłem na niego dawać baczność. Nazywał sir John Cunning; był to młody człowiek, cery bladéj, z czarnemi kędzierzawemi włosami i spokojnéj, miłéjfizjonomji.Lubo rysy jego nie były mi znajome, przecież głos jego nie był mi obcym i musiałem go już gdzie słyszéć. Nagle spostrzegłem znaki jakieś porozumienia z drugim młodym człowiekiem który grał z naszéj strony. I tego lubo nigdzie nie widziałem, przecież głos jego jak sir Johna zdawał mi się być znanym. Nie zwracał oczu z naszych kart, nie pokazując najmniéj-

széj niechęci z przyczyny przégranéj, owszém przeciwnie drażnił Jamesa, który zbytnią przegraną zaczynał się niecierpliwić. Te dwie okoliczności zajęły mocno moję uwagę i szukałem naprożno w mojéj pamięci, gdziebym mógł był słyszéć tych dwóch młodych ludzi, gdy sir John Cuuning zaczął z Jamesem mówić o wyścigach Lady Crompy.

— Nie byłeś na wyścigach? zapytał się, które jéj wysokość dała przed kilku miesiącami w Brighton.

Gdy James potwierdził zapytanie, odezwał się drugi młody człowiek: I ja tam byłem, wieczór był świetny, grano a l'enfer.

Nazwisko Lady Crompy dało mi niejakie światło. Przypomniałem sobie szczególną rozmowę którą tego wieczora słyszałem i przeczuwałem że téj znacznéj stracie którąśmy ponieśli, towarzyszyło jakieś osznstwo. Aby moje domysły wyjaśnić postanowiłem poruszenie i słowa dwóch podejrzanych bacznie uważać.

— Mój kochany sir John zawołał w téj chwili drugi, wiele masz dziś szczęścia! Byliśmy słabi w *coeur* i przypomniałem sobie dobrze że jeżeli wypada zagrać *coeur*, to przemawia się

jaki wyraz zaczynający się od litery *M*. Sir John istotnie rozpoczął grę niźnikiem czerwiennym i my przegraliśmy partję.

— Przysięgam panu że zysk dzisiejszego wieczora nie nagrodzi mi wczorajszeéj przegranéj.

— Mówiono mi przeciwnie że pan wiele wygrałeś, rzekł O'Well.

— O mylisz się pan fałszywie mu powiedziano byłem z baronetem, i widziałem jak znaczną przegrał kwotę. Przypomniałem sobie równie dobrze, że powszechnie frazesy które się od *O* rozpoczynają, mają znaczyć *Careau* i znów przegraliśmy stawkę. Zmieszano karty na nowo i każdy zabrał się do gry.

— Czy pan w przyzwoitém miejscu zebrałeś karty — bo mi się nudzi przegrywać.

Teraz się przekonałam że nas haniebnie oszukiwano: litera bowiem *C* oznacza *pioue*, sir John zadał *pioue* — my przegraliśmy partję.

Puść mnie na swoje miejsce James, rzekłem

mu, może mnie los nie będzie tak prześladował. Przy tych słowach położyłem na stół bilet bankowy dwudziestu funtów.

— Trzymam dziesięć z panem, Edwardzie, rzekł towarzysz Sir Johna.

— Stawka twoja jest w wielkiém niebezpieczeństwie, rzekłem żartobliwym tonem, dla czego nie trzymasz się lepiéj sir Johna.

— Wolę grać z tobą, musiemy przecież żyły złota sir Johna wyczerpać.

— Żyły złota sir Johna są nie wyczerpane, odparłem rzucając piekielnym wzrokiem na baroneta.

— Jestem tak nieszczęśliwy, że pewnieby się szczęście odwóciło, gdybym zmienił miejsce i sir John musiałby przegrać — Zamiast co teraz wygrywa.

— To jest pewno, rzekł śmiejąc się O'Well który sir Johna pomieszanie spostrzegł.

— To właśnie jest i moje zdanie, dodałem, rozumiem że gdyby ten pan przeciw nam trzymał zakład toby się szczęście zmieniło.

— Co pan chcesz przezto, powiedzieć, mój

panie? zawołał baronet starając się napróżno ukryć swoje pomieszanie.

— Chcę panom szczególną awanturę odpowiedzieć, która nam się przytrafiła na wieczorze Lady Crompy, o którym panowie właśnie rozwialiście. I ręczę że ta awantura nie na jednym z nas zrobi wrażenie. Wystawcie sobie panowie, rzekłem daléj, zmordowawszy się całonocną grą, udałem się około drugiéj po północy do pobocznego ciemnego pokoju, w celu odpocznienia; weszło po mnie dwóch młodych ludzi, których głosy aż nadta sobie jeszcze przypominam i usiedli na sofie, na któréj ja w ciemnym kącie opierałem się. — Jakżeś ty niezgrabny, rzekł jeden do drugiego, — nawet wolty nie umiesz.

— Co to panu, sir John? zapytał O'Well, który odgadł moję myśl i chciał pomieszanie baroneta powiększyć.

— Sir John nic nie odpowiedział, a ja tak daléj ciągnąłem opowiadanie: — Słuchaj, dodał pierwszy, takiego wieczora nie trzeba stracić. Grają grubo! możemy wiele wygrać. Trzeba abyś małą summą na mnie rezykował; a bę-

dziesz miał prawo zaglądać w karty mojego przeciwnika, przez to łatwo możesz mi dopomódz. Jeżeli partner mój będzie słaby w *coeur* i *coeur* trzeba zagrać aby wygrać, to zaczniéj rozmowę od litery *m*; powiedz *np.* mój kochachany za wiele masz dziś szczęścia. Gdyby *careau* grać wypadało to zaczniej frazes od *O*, *np* O, pan się mylisz a jeżeli *pique* to od *C*, *np.* Czy pan dobrze zebrałeś, bo ja już nie mam ochoty, więcéj przegrywać. Litera *L* oznaczać będzie trefl. Na te słowa powstało wyraźne szemranie przeciw sir Johnowi i godnemu jego towarzyszowi.

— Na honor, rzekł O'Well który się nad pomieszaniem dwóch oszustów unosił, to orygiinalna awantura! Cóż myślisz o niéj sir John?

— Moi panowie, zawołał sir John z gniewem, powstając, nie rozumiem nic z tego com słyszał; ale jeżeli pan (wskazując na mnie) prawdziwém lub zmyśloném zdarzeniem które opowiedział, miał zamiar niegodne porozumienie na mój honor ciskać, to żądam aby to natychmiast odwołał.

— O to jest moje odwołanie! rzekłem rzucając mu karty w oczy.

— Na to powstało powszechne zamieszanie. Gracze, bankierowie, krupjery i słudzy, opuścili stoły i karty i skupiali się w sali gdzieśmy byli.

— Mój panie, zawołał sir John ciskając na mnie wzrokiem zemsty, żądam zadość uczynienia za podobną zniewagę.

— Chętnie, gdzie i kiedy. Lubo nie wiele jest zaszczytu bić się z oszustem; ale towarzystwo złoży mi podziękowanie że uwolnię to grono od takiego jak ty niegodziwca.

— O ósméj z rana, na pistolety.

— Dobrze —mój przyjaciel O'Well jest moim sekundantem, będzie tak dobry i ułoży wszystko z pańskim. — A teraz zamieńmy nasze adresy.

W téj chwili zwróciła się cała uwaga obecnych na częste uderzenia do drzwi zewnętrznych. Hałas coraz się powiększał aż nareście drzwi ustąpiły przemocy i wypadły z łoskotem. Każdy patrzał na drugiego pomieszany, gdy wszedł służący z miną bladą i trwożliwą i rzekł.

— Uciekajcie panowie, policja policja.

Na głos ten zgasło swiatło czarodziejskim sposobem; i w jednéj chwili wszystko znikło; stoły, lichtarze, karty, gracze, ostatni uciekli tajemnemi schodami i dostali się szczęśliwie na ulicę.

— Co to się ma znaczyć? zapytałem się O'Wella.

— Mój kochany, gdyby nas policja schwytała, tobyśmy obadwa na trzy miesiące poszli do *thread mill.*

— Ależ, rzekłem, przecie w tém towarzystwie byli członkowiei izby niższéj i parowie królestwa, jak takie osoby mogą narażać się na karę którą same ułożyły.

— Co innego jest dawać prawa, a co innego tym prawom zadość uczynić.

—Po tych słowach pożegnał mnie, aby z sekundantem mojego przeciwnika naradzić się względem miejsca gdzie się bić mieliśmy. Przyszedłszy do domu położyłem się, ale przez noc całą oka zmrużyć nie mogłem, gwałtowne uuiesienie burzyło mój umysł i po tysiąc razy przewracałem się na łóżku.

— O piątéj wstałem i napisałem list do Elizy, na przypadek gdybym zginął. Potém wziąłem pistolèty i udałem się do mieszkania O'Wella. Ranek był chłodny i dżdżysty, otulony płaszczem przeszedłem place i ulice do domu Jamesa a nim do niego doszedłem zmokłem do nitki.

— Przeklęta rzecz, zawołał O'Well podając mi rękę, nie dość bić się—będziemy jeszcze póżniéj mieli rozprawę z policją. Pojedynkujący się i sekundanci podług naszych ustaw mogą być przed sąd stawieni i odesłani do południowéj nowéj Walji. Sędziowie od niejakiego czasu są bardzo ostremi w sprawach pojedynkowych.

— Paf, odpowiedziałem, poślemy sobie po kulce albo po dwie i rzecz skończona: oszusty zazwyczaj są tchórze.

— Kochany Edwardzie, i tchórz nabiera odwagi gdy się go dotknie do żywego;—a sir John ma się mścić za swoją sławę.

Poszliśmy. Ciągle jednakże padał drobny deszcz a mgła zamiast się rozproszyć coraz była gęstszą. Przyszedłszy na miejsce, nie mogliśmy o dziesięć kroków widzieć przed sobą.

— Co za przeklęty czas! zawołał James zapinając swój surdut; żebyście aby przy téj djabelskiéj ciemności w nas nie chcieli trafić.

— Możesz dwadzieścia albo trzydzieści kroków odsunąć się na bok.

Przechadzaliśmy się czas niejaki, nakoniec spostrzegliśmy przez gęstą mgłę trzy postacie nadchodzące któreśmy wkrótce uznali za Sir Johna jego sekundanta i młodego człowieka któregośmy za doktora wzięli. Twarz Sir Johna była rozognioną, a oczy jego osłupiałe, zdawało mi się że kilku szklankami szampana wlał w siebie odwagę któréj serce jednakże nie dzieliło.

— Moi panowie, zawołał, mam krótki wzrok nie umiem strzelać z pistoletów i zawsze do tego byłem bardzo niezgrabny.

— Do czego to zmierza? zapytałem się.

— Twoje słowa zrządziły tę scenę, rzekł; jesteś stroną zaczepną, a więc do mnie należy jak ta rzecz ma się załatwić, chcę się z panem o 5 kroków strzelać, ażebyśmy razem legli i dusze nasze dja... oddali.

— Nie — tak się nie pojedynkuje, wykrzyknął James, byłoby to podwójne morderstwo.

— Obstaję przy tém; podobną obrazę krew tylko obmyć może.

— Dobrze więc, niech się woli twojéj zadość stanie. O'Well, przygotuj pistolety.

— A więc, mój biedny przyjacielu, rzekł James przyciskając mnie do piersi i podając mi broń; życzę ci szczęścia.

Podziękowałem mu serdecznie, oddałem mu list do Elizy i stanąłem o pięć kroków na przeciw baroneta.

— Któż nam da znak? zapytałem.

— Ja! odpowiedział sekundant sir John.

— Czy pan gotów.

— Gotów odpowiedział John mierząc mi do głowy.

— Jak trzy wymówię, strzelajcie razem.

— Dobrze.

— Baczność! — raz — dwa — trzy!

Wystrzały poszły razem, kula mojego przeciwnika przeszyła mi kapelusz i zdarła mi go z głowy; moja lepiéj wymierzona powaliła sir Johna o ziemię. Widziałem jak się taczął, — padł, a głos konający zawołał: Karolu, Karolu! do mnie, umieram.

Gniew i zemsta ustąpiły w jednéj chwili z mojego serca, żałowałem że wzburzenie egoizmu posunęło mnie do takiego kroku. Ale nie było chwili namysłu. Trzeba było ujść jeżeli byśmy chcieli uniknąć niebezpieczeństwa być przez policją aresztowanemi.

— Kochany Edwardzie, mówił O'Well, po takiem zakończeniu będzie najlepiéj schronić się do Francji, bo jeżeli tu pozostaniem, to bardzo być może że nas między niebem a ziemią nauczą tańczyć.

— Tego uczynić nie mogę, James; zostanę choć z niebezpieczeństwem uwiężienia. Muszę Elizę wywieść i zaślubić — a wtenczas, pojedziem do Francji.

Powróciliśmy spiesznie do mojego mieszkania gdzie tak długo zostałem aż póki potrzebnych rzeczy nie ukryłem przy sobie, bo obawiałem się najścia policji. Mój stary gospodarz któremu moją smutną awanturę opowiedziałem, prawił mi długo o niebezpieczeństwie zwiedzania zakazanych miejsc i o uszanowaniu, które każdy porządnie żyjący człowiek winien prawu w miejscu gdzie przemieszkiwa.

Mistres Johnston zaczęła podług ukochanego zwyczaju płakać, skoro powiedziałem że się z niemi rozstanę. Samuelowi który jeszcze ciągle zostawał w mojéj służbie, dałem rozkaz aby wszystko do podróży przygotować i aby o godzinie 4téj nazajutrz znalazł się z koczem i koniem osiodłanym przy kratach ogrodu Kensington. Potém pożegnałem moich gospodarzy i odszedłem.

Reszta dnia zdawała mi się nadzwyczaj długą: szukaliśmy schronienia przed policją u jednego z przyjaciół O'Wella, ale lękałem się aby nas co chwila nie znaleziono, po drugiéj po północy udaliśmy się do ogrodu Kensington, gdzie zastaliśmy pojazd i konie tak jak żądałem. Noc była ciemna jak piekło, a drobny zimny deszcz, bił nas w oczy, kazałem pojazdowi blisko fórtki stanąć. Jamesowi dałam latarnię a sam otworzyłem furtkę, kluczem który miałem od Jenny, przeszliśmy ogród, a gdyśmy pod okna podstąpili kazałem O'Wellowi trzy razy w ręce klasnąć. Po tym znaku czekaliśmy chwilę spokojnie, ale nie było odpowiedzi.

— Klaskaj jeszcze raz, może nas nie słyszano.

Potém otworzyło się okno z ostrożnością i lekkim głosem — to była Jenny, — zapytano. Czy to pan?

— Tak jest!

— Jesteśmy gotowe.

— Wlazłem na szpaler i z małą trudnością dostałem się do balkonu który nie był zbyt wysoko od ziemi. Znalazłem Elizę drżącą i w wielkiém pomieszaniu, ale moje słowa i pieszczoty zaspokoiły ją wkrótce; — podałem O'Wellowi małą szkatułkę która zawierała kosztowności, potém wziąłem rękę Elizy i sprowadziłem ją ze schodów i szczęśliwie zeszliśmy aż do drzwi od ogrodu, które Jenny naumyślnie zostawiła otworem.

Ucieczka nasza była zrazu bardzo szczęśliwą. Już przeszliśmy byli drzwi od ogrodu i tylkośmy mieli przejść furtkę przez którą weszliśmy, gdy usłyszeliśmy nagle krzyk ogrodnika: złodzieje! złodzieje! który wszystkich służących pobudził. W oka mgnieniu ujrzeliśmy ze wszystkich stron światło; ale nim zdołano

naszéj ucieczce przeszkodzić, już byliśmy w pojeździe i konie ruszyły mocnym kłusem.

O trzy mile kazałem stanąć i zawołałem na O'Wella który przy nas konno jechał.

— Mój kochany James, rzekłem mu, sir Wiljamson skoro spostrzeże ucieczkę swojéj siostrzenicy, domyśli się naszego planu i pójdzie za nami w pogoń. Wróć więc do Kensington Garden i uważaj kroki baroneta. Jeżeli w ciągu dwóch godzin nie będzie w pojeździe, to przyjedź za nami tak prędko jak można do Gretna-Green, w przeciwnym zaś razie gdyby chciał wyjechać, staraj się go w podróży zatrzymać, tak żebyśmy go zawsze o parę godzin poprzedzali. Bądź zdrów.

Podróż nasza szła szybko — na ostatniéj stacji pocztowéj przemówiłem do człowieka który z ubioru na pocztyljona zakrawał i zażądałem od niego najlepszych koni. Ale zamiast odpowiedzi, patrzał się ten człowiek na mnie osłupiały i stał nieporuszony jak posąg.

— To jest Joe Duddlej, wasza wysokość, on głuchy jak pień, rzekł mały chłopiec.

— Bezwątpienia interes w Gretna-Green

zapytał z uśmiechem gospodarz który właśnie na to nadszedł.

— Żądam koni! odpowiedziałem dotknięty jego ciekawością.

Gdy konie były zaprzężone, pojechaliśmy w największym pospiechu daléj i wkrótce okazały się naszym oczom wieże kościoła i domy Gretna-Green. Przyjechawszy na rynek kazałem stanąć przed mieszkaniem kowala. Tu mieszkał szkocki ślubodawca. Dzięki Samuelowi który nas wyprzedził, znaleźliśmy wszystko do obrzędu przygotowane. Przez kuźnię przyszliśmy do małéj izby modłów ktora z elegancją i gustem była urządzona. Kowal wziął książkę modlitw i połączył nas z właściwą u nich ceremonją. Samuel i jeden z synów kowala służyli nam za świadków. Po ukończonéj ceremonji, zapisaliśmy nasze nazwiska w wielką księgę pod podpisami księcia i margrabiny.

Dałem kowalowi dziesięć gineów i podziękowałem mu za jego usłużność, poczem pojechaliśmy do hotelu, gdzie chcieliśmy przybycia O' Wella oczekiwać. Teraz gdy byliśmy połączeni, mało dbałem o baroneta, byłbym jego przytomność

za bardzo sprzyjającą okoliczność uważał, ale z moją żoną była inaczéj; przestrach jéj zawsze się powiększał skoro usłyszała turkot jakiego pojazdu.

— Byliśmy może z godzinę w hotelu, gdy usłyszeliśmy krzyk na ulicy który wzbudził całą naszą uwagę. Jak wielkie było nasze podziwienie gdy spostrzegliśmy Joe Duddlej galopującego z przodkiem od pojazdu pośród krzyków, i różnych figlów chłopców. Znak ukontentowania który błyszczał na jego twarzy pokazywał jak jego miłość własna tryumfowało z téj prędkiéj jazdy. Ale spostrzegł za sobą tylko przód pojazdu. Każdy pytał o przyczynę tak zadziwiającego przypadku i poddawał się tysiącznym domysłom, gdy nagle spostrzegłem jezdca w galopie przybywającego w którym O'Wella poznałem.

— No, wykrzyknął ukłoniwszy się mojéj żonie, nie widzieliście przejeżdzającego pojazdu sir Willjamsona?—Jako!—te dwa przednie koła, któremi głuchy Joe Dudley tak prędko i pysznie tu wjechał toby miał być baroneta pojazd?

— Tak, tak, mój kochany.

— No, opowiedz nam jak to było.

— Skoroś mnie opuścił, wróciłem do Kensington Garden i szpiegowałem dom baroneta. Widziałem wkrótce że z największym pośpiechem czynią przygotowania do podróży. Istotnie dwie godziny jeszcze nie upłynęły od waszéj ucieczki, a już baronet siedział w swoim pojezdzie i obrócił drogę ku Gretna-Green; pokazywał tyle gorliwości że byłby was niezawodnie w Gretna-Green dopędził, gdybym nie był korzystał z jego zamieszania na ostatniéj stacji pocztowéj, i nie naderznął sznurów które wiążą przód z całym pojazdem, w nadziei że przy mocném wstrząśnieniu pękną i głuchy pocztyljon pojedzie z samym przodem pojazdu. Jak przewidziałem tak się stało; zaledwie pojazd było milę od stacji, gdy wskutek uderzenia o kamień sznury pękły, a Joe Dudléj ciągnął swą drogę mimo wszystkich krzyków i przekleństw baroneta, którego on jednak dla pewnych przyczyn słyszeć nie mógł. — Eliza rozśmiała się z konceptu O,Wella i podziękowała mu spojrzeniem wewnętrznego zadowolenia.

Pozostaje mi tylko opowiedzieć, jakim sposobem uszliśmy przed poszukiwaniami. To szczęśliwie się udało; dostaliśmy się bez

wielkiego wysilenia do portu Newcastle, gdzie znaleźliśmy statek który nas do Francji przeprawił. Tam dowiedzieliśmy się w kilka dni, że sir John którego już mieliśmy za umarłego, uszedł śmierci i że w skutek odebranéj rany, postradał tylko żebro w lewym boku. Ta szczęśliwa wiadomość skłoniła nas do zniesienia się z naszemi przyjaciołmi, aby się za nami wstawili i dzięki ich zabiegom wkrótce otrzymaliśmy ułaskawienie. Powróiliśmy za tem do Londynu. — Eliza prosiła mnie w dobroci swojego serca aby oddać wizytę wujaszkowi, aby nie zaniechać żadnych środków do zgody. Przystałem na to i udaliśmy się do baroneta, i z taką wstrzemieźliwością mówiłem w mojéj obronie, że nakoniec lepsze o mojém postępowaniu powz'ął wyobrażenie.

DODATEK.

Kszdy zapewnie wie, że Gretna Green jest szkocka wieś, do któréj się udają od sześćdziesięciu lat wszyscy kochankowie którzy chcą przed surowém angielskiém prawem o małżeństwie, przed nie zezwoleniem rodziców lub opiekunów uciec. Gdy słyszemy o podobnych związkach które odbywają się jak mówią przed kowalem, wystawiamy sobie że do tego aktu szczególny musi się być przywiązany przywiléj miejsca lub osoby, i dziwiemy się jak podobne związki prawo scierpiéć może; wprawdzie nie są one ważne, bo nie mają za sobą właściwych praw podług ustaw o małżeństwach. — Podług dawnego prawa kanonicznego oświadczenie dwóch osób w słowach,, Jesteśmy teraz mężem i żoną" wymówionych przed księdzem, notarjuszem, albo jaką inną osobą, daje moc związkowi, gdy później osoby te z sobą mieszkają. To prawo zniesione w Anglji pod panowaniem Grzegorza II, dotychczas trwa w Szko-

cji. Nie trzeba jednak myśléć aby prawo to już było ogólném, bo tu tak jak wszędzie istnieje zwyczaj zapowiedzi, od ktorych się nie można uchylić tylko pozwoleniem sądowém. Nie dopełniający podobnej formalności skazani bywają na kary pieniężne lub więzienie, dla tego też tajemnie zawarte związki w Gretna-Green pociągają za sobą znaczne wydatki pieniężne. Jednakże prawo tych związków nie unieważnia. Zapewnie dla tego Gretna-Green wybrane jest na to, że jest najbliższą wioską na granicy szkockiej.

Przybywający do Gretna-Green w celu zaślubin, wstępują do hotelu gdzie przywołują mniemanego księdza, który zapytawszy się z książką w ręku czy chcą się zaślubić, łączy ich przy świadkach. Małżonek daje swojéj żonie pierścionek a ona jemu pocałowanie. Związek taki zazwyczaj kosztuje od dwóch do trzydziestu gwineów.

W roku 1825 liczba zawartych związków w Gretna-Green doszła do sześćdziesięciu. W księgach miejscowych są zapisywane nazwiska hrabiego Westmoreland, Lorda Ellenborough, sir Tomasza Lethbrige a nawet dwóch kanclerzy

Anglji, lordów Eldone i Eskine, pod temi znakomitemi nazwiskami jest jeszcze, aby że tak rzeknę ukoronować tę księgę; nazwisko Karola Franciszka Bourbon syna Franciszka I. króla obojga Sycylji i Penelopy Karoliny Smith córki hrabiego Waterford którzy w 1838 roku w Gretna-Green odbyli uroczystość zaśluby.

SIEROTY Z TROUVILLE.

Na lewym brzegu Sekwany, wprost pięknego portu Hawru i o cztery mile od romantycznego miasta Honfleur, położona jest piękna wioska Trouville, której powierzchnia rozszerza nad brzegiem rzeki piasek tak miły dla nóg kąpiących się, jak kobierce naszych pary-

kich pałaców. Powabna okolica gubi się w dolinie, któréj spód oblewa woda; a zielone pagórki wznoszące się za nią zasłaniają jéj wegetację. Spokojna natura jest tam wypocznieniem umysłu, zdala od zgiełku naszych towarzystw i wolny od burzliwych scen naszego życia, nowém tam odycha życiem

Po chorobie dość ciężkiéj udałem się szukać w tych spokojnych nadbrzeżach łagodnego powietrza i słodkiego *far niente*, które jest jakby między-aktem wśród wielkiego ruchu którego jesteśmy niewolnikami, my których myśl ciągle jest w poruszeniu i których oczy dręczą się zmiennym obrazem tłumu. Używałem prawdziwych przyjemności, błąkając po łąkach i gaikach w pośród lepianek zamieszkałych przez ubogich rybaków, zapominając o zaczętych dziełach i scenie które na mię czekała, uwolniony od niegrzecznych feljetonów które tak nielitościwie spisują wszystkie niełaski dramatyczne.

Marzyłem bez celu i przedmiotu, wtém ujrzałem zbliżające się do mnie dwoje dzieci,

których przyjemna fizjonomja sciągnęła moją uwagę. Starsze podniosło rękę do czapki i rzekło do młodszego: „ Ludwiku, ukłoń się panu.“ — Mniemałem że proszą o jałmużnę i podałem starszemu kilka sztuk drobnych pieniędzy.

— Co pan ma do rozkazania? zapytał starszy.

— Nic, moje dziécię.

— Oh panie, my nie bierzemy pieniędzy których nie zarobiliśmy.

— Jakto, już pracujesz?

— Czylisz nie powinienem, proszę pana?

— Wiele masz lat.

— Dziewięć;

— A twój brat?

— Trzy.

— Cóż robi twój ojciec?

— Nie mam go.

— A matka?

— Straciłem ją także.

— A więc jesteście sierotami!

— Tak jest panie; odpowiedział i ujrzałem łzy w jego oczach. Braciszek jego patrzył na niego i płakał także przez sympatję, bo w tym

wieku rozsądek nie obdarza nas jeszcze smutnym przywilejem pojmowania nieszczęścia.

Usiadłem na kamieniu wystającym pośród zieloności i patrząc z zajęciem na dwie sieroty, rzekłem do starszego chłopczyka.

— Moje dziécię, opowiedz mi twoją historję.

— Oh, panie, jest ona bardzo smutna... Nazywam się Karól a mój brat Ludwik. Mój ojciec Jan Cauvin był rybakiem. Rok temu będzie popłynął jak zwykle w swojéj barce, ja miałem mu towarzyszyć, bo już odbywałem kilkakrotnie podróże, ale moja matka była słabą, i rzekła do ojca: — Zostaw przy mnie Karola, jestem słabą, nie będę mogła zająć się małym Ludwikiem, on mię wyręczy. Czuję że słabość wzmaga się, i lękam się Janie, że cię już więcéj nie zobaczę. — Uspokój się, rzekł mój ojciec, dobry Bóg nie zechce zabierać cię od małych dzieci, nabierz odwagi; powróciwszy pewny jestem że cię znajdę już zupełnie zdrową. Przed odjazdem pójdę pomodlić się do Najświętszéj Panny łaskawéj, dzieci pójdą ze mną i będziem się wszyscy modlili. — Najświętsza Panna łaska-

wa, jest tu proszę pana, w téj kaplicy nad brzegiem. Żeglarze chodzą modlić się do niéj przed odjazdem, i wracając składają jéj dzięki za pomyślną podróż... Mój biedny ojciec ślubował kupić za powrotem gromnicę, aby się paliła przed tym swiętym obrazem, ale najświętsza panna nie zlitowała się nad nami.

— Nie wrócił?

— Nie, mój panie.

I Karól znowu otarł oczy ręką, a brat jego patrzył i płakał. Przyznam się że czułem iż oczy moje były wilgotne.

— Mów daléj, kochane dziécię rzekłem do Karola.

— Mój ojciec popłynął z drugim rybakiem, naszym sąsiadem i przyjacielem. Wśród nocy powstał wiatr bardzo silny który ich popędził na środek morza. — Mikołaj, przyjaciel mego ojca wpadł w morze i dopłynął do innéj barki, która po tysiącznych niebezpieczeństwach, wysadziła go na ląd. Ale mój ojciec nie wcócił. Biedna moja matka i tak już osłabiona chorobą, nie mogła znieść tego zmartwienia. W kilka

dni po tém zawołała mię i kazawszy usiąść przy łożku: Karolu, rzekła, twój ojciec zginął; przeczuwałam to. Gdybyś był z nim popłynął, byłbyś także nie wrócił, a twój mały braciszek zostałby sam na ziemi, bo czuję że was muszę opuścić. Nie mamy żadnych krewnych, ty z Ludwikiem zostaniecie sami w naszéj chatce. Jesteś starszym od niego, masz już rozsądek i odwagę; nie opuszczaj nigdy twego brata; sternik Jakób Chonguet był zawsze naszym przyjacielem, udaj się pod jego opiekę: on cię nauczy swego rzemiosła; jak urośniesz dadzą ci łódkę, a może kiedyś będziesz sobie mógł inną kupić. Słuchałem mojéj matki i rzekłem płacząc; Matko kochana, nie opuszczaj nas; dobry Bóg nie zechce zabrać cię od twoich dzieci. — W téj chwili pan pastor wszedł do naszéj matki.

— I cóż, poczciwa kobieto, zapytał, jakże się masz?

— Zle, panie pastorze nie mam już sił zupełnie. Daj mi błogosławieństwo i przyrzecz że nie opuscisz biednych moich dzieci które już nie mają ojca.

— Bóg jest ojcem wszystkich sierot, biedna Marjo, odrzekł pan pastor, i przyrzekam ci

w jego imieniu, że będę miał o nich staranie.

Nakoniec dobry panie, moja matka umarła w krótce potém. Zaniesiono ją na smentarz; mogłem już ocenić wtedy wielkość naszéj straty ale Ludwik który szedł przy mnie nie rozumiał wcale tego wszystkiego. Wieczorem kiedyśmy zostali sami w chatce, zaczął płakać wołając matki. Ale jéj już niebyło, nie mogła się znim pieścić. Pocieszałem go jak mogłem i uspiłem go. Powoli biedne dziecię przyzwyczaiło się widzieć tylko mnie samego. Poszedłem do Jakuba Chonquet który mię wziął na swoję barkę, byłem mu użytecznym bo za życia ojća nauczyłem się pomagać mu. Kiedy udawałem się na morze, żona Jakoba Chonqu miała staranie o moim małym braciszku. Kiedy wróciemy na ląd, idę do pana pastora który mię uczy czytać i katechizmu. Już rok jak zostaliśmy sami na swiecie, i wszyscy kochają nas, bo wszyscy szanowali naszego biednego ojca, i naszę matkę; nie zbywa nam na wszelkiej potrzebnéj pomocy. Ale chatka zdaje mi się bardzo smutną, kiedy siedziemy w niéj sami, jak burza nie pozwala udać się na pokład.

Tak prawie opowiadało mi biedne dziécię wy-

rażając się z przyjemną naturalnością i z łatwością podziwienia godną, jak na wiek jego.

— Mój mały przyjacielu, rzekłem po chwili, czy nie zechesz mi pokazać twoje mieszkanie.

— Kochany panie, nie jest ono piękne, ale znajdziesz w nim porządek, bo stara Magdalena, nasza sąsiadka, jest tak dobrą że się trudni utrzymaniem go jak się należy; ona to gotuje nam pożywienie i naprawia odzież.

Powstałem i udałem się za dziećmi które poszły przodem aby mi drogę pokazać.

Chatki są bardzo piękne w obrazach naszych malarzy krajobrazów i opisach romantycznych. Ale trzeba je zobaczyć w rzeczywistości. Trzeba wejść pod ten dach słomiany, pokrywający budowlę złożoną z kamieni i ziemi, podpartą kilku żerdziami, trzeba deptać tę podłogę wilgotną którą zdobi kilka grubych mebli, którą zaledwie ociepla słaby ogień z kilku wiórów tu i owdzie zebranych i kory, którą pozwalają dzieciom zbierać z drzew obrabianych do użytku w budowie statków. Zdziwiony jednak byłem czystością jaka panowała w tém mieszkaniu nędzy. Łóżko na którém biedna kobieta umarła było posłane tak jakby oczekiwało na nią; łóż-

ko Karola stało obok kolebki która dawniéj służyła jego bratu, ale teraz była już za małą, dla tego obaj bracia sypiali razem. Gdy się przyjrzałem dobrze chatce, Karol rzekł do mnie.

— Smutno jest tutaj, nieprawdaż panie? A teraz może pan zechcesz pójść na cmentarz.

— Niespodziewałem się téj propozycji, ale przyjąłem ją. Dzieci zaprowadziły mię do tego skromnego schronienia śmierci, gdzie nie widać ani kosztownych marmurów ani wspaniałych napisów tylko darninę i krzyże drewniane. Oboje uklękli, Karol modlił się głośno a brat jego słuchał go mając złożone i wzniesione ku niebu ręce.

Żywo zająłem się temi dziećmi, których wzajemne wzruszające przywiązanie nie daję się opisać. Zdawało się że Karól czuł całą ważność pewierzonych mu obowiązków, i że potrzeba wychowania i opieki dla jego brata obudziła w nim przedwczesny rozsądek, a z drugiéj strony Ludwik nie odstępował go ani na krok, chodził za nim jak pisklę za matką i patrzył na niego pieszczonemi oczyma które zdawały się mówić: „Nie opuszczaj mię, ty jesteś dla mnie wszystkiem na swiecie.

Zatrzymałem się kilka dni w Trouville biorąc kąpiele morskie i rzadko kiedy w wycieczkach moich wieczornych nie spotkałem moich małych przyjaciół, z któremi zawsze rozmawiałem. Często wynalazłem jakie zlecenie dla Karola, przypominając sobie że nie chciał przyjąć pieniędzy nie zarobionych. Ale nie przewidywałem sceny któréj byłem świadkiem, i bez któréj nie byłbym może opisywał tego zdarzenia, którego rozwiązanie może zdawać się będzie romansowém, chociaż spowodowane zostało wypadkami bardzo naturalnemi.

Mały statek amerykański zbliżający się ku portowi w Hawrze zatrzymał się na wysokości Trouville, i dał zwykłe znaki wzywające żeglarzy z nad brzegu. Natychmiast wypłynęła na morze barka i wkrótce dosięgła do okrętu z którego wyskoczył w nią jeden człowiek. Barka zwróciła się, widzieliśmy ją szybko sunącą się po wierzchu wałów, spokojnych zupełnie w téj chwili. Przybyła ona do brzegu zupełnie wprost kaplicy Najświętszéj panny łaskawéj; żeglarze wylądowali, trzymali oni człowieka któregokrok był niepewny. Żywe wzruszenie zdawa-

ło się nim miotać, wznosił ręce ku niebu spoglądając w stronę wioski i poszedł do kaplicy. Zatrzymał się tam i padł na kolana. Patrzyliśmy na niego zdaleka. Nagle Karól utopił w nim spojrzenie którego nie zdołam opisać, krzyknął i pobiegł ku kaplicy.

Patrzyłem na niego osłupiały, zdawało mi się że słyszę te przerywane wyrazy które do mnie wiatr donosił: Mój ojciec! mój ojciec! Wtedy mały Ludwik zaczął podobnież wołać, i pobiegł za swoim bratem.

Zostawszy sam, ujrzałem zdaleka jak ten człowiek ściskał dwoje dzieci i przytulał do swego serca. Przyśpieszyłem kroku, aby się zbliżyć do nich i ujrzałem... nie, nic nie ujrzałem, bo moje łzami napełnione oczy nic nie mogły rozróżnić, ale słyszałem wśród łkań przerywane krzyki: moj ojcze! mój Karolu, mój mały Ludwiku!... i odgłos pocałowań, a na zapytanie: „Gdzie Marja, gdzie moja żona!" za całą odpowiedź Karól wziął rękę ojca, przycisnął ją do swego serca i palcem wskazał na cmentarz. Biédne dziécię nie miało siły mówić.

Blady z spuszczonemi oczyma Jan Cauvin trzymając za ręce swoje dzieci w milczeniu, poszedł

ku brzegowi, przyjaciele jego udali się za nim, a ja przyłączyłem się także do tego smutnego orszaku. Nie będę opisywał téj sceny melancholijnéj były to tylko modły i łzy. Odprowadzono Jana do jego chatki; nie bez wzruszenia przestąpił on jéj próg i ujrzał to miejsce spoczynku, w którém miał teraz być samotnym i gdzie żona jego ostatnie wydała tchnienie.

Nieobecność i powrót Jana, to była podwojna tajemnica, któréj objaśnienia niecierpliwie czekały dzieci jego i przyjaciele, i któréj ja także gorąco pragnąłem dowiedzieć się. Jan w krótkości opowiedział wszystko.

—Popchnięty daleko na morze przez wiatr burzliwy, rzekł on, gdy barka moja postradała żagle i wszystkie środki pomocy, długo błąkałem się nie mogąc skierować mego słabego statku i co chwila pewny zguby śród nabrzmiałych wałów. Ta okropna burza kilkanaście dni trwała, i nakoniec ujrzałem się na pełném morzu, bez żadnego sposobu poznania gdzie się istotnie znajduję i bez żadnych środków ratunku prócz małego zapasu który wziąłem na ośm dni a który wystarczył mi na miesiąc. Ale wyczerpał się nakoniec i ujrzałem

się bliskim śmierci przez głód. Myśl zakończenia moich cierpień przez rzucenie się w morze, przychodziła mi kilkakrotnie, ale odpychałem ją od siebie, myśląc o was moje biedne dzieci i ufając że Bóg mieć będzie litość nade mną. W końcu trzeciego dnia po zupełném wyczerpaniu żywności, uczułem że silny wiatr porwał moją barkę, pomyślałem że zbliżałem się do jakiegoś lądu, usłyszałem wkrótce po szeleście jaki czyniły bałwany, iż uderzały się o brzegi skaliste i nie równe. Wiatr wzmagał sie w sile, barka moja skręciła się w szybkim biegu, i zbliżała się ku skale o którą powinna była rozbić się na tysiąc części. Zebrałem resztę sił które mi jeszcze pozostały, i polecając duszę najwyższemu, rzuciłem się w wodę i dopłynąłem do skały, o którą widziałem jak biedna łódka moja uderzyła gwałtownie i znikła. Drapałem się z jednéj skały na drugą, aż z dość wzniosłego miejsca ujrzałem płaszczyznę około ćwierć mili rozciągłości, pokrytą gdzieniegdzie słabą wegetacją. Tu przepędziłem wiele dni, żywiąc się ostrygami, korzonkami i ptakami morskiemi które z gniazd znajdujących się tam wobfitości

wybierałem. Nie będę starał się wystawić jak czas tam przepędzony wydawał mi się być długim; z jaką niecierpliwością po całych dniach patrzyłem na morze, czy nie ujrzę jakiego statku któryby mię mógł zabrać. Nakoniec pewnego dnia postrzegłem na widnokręgu żagiel statku, który pędzony wiatrem szybko posuwał się ku mojéj stronie. Wdrapałem się na wysokie drzewo nadbrzeżne i zacząłem powiewać płaszczem. Nie długo ujrzałem szalupę odpływającą od okrętu i dążącą ku brzegowi, drżałem żeby ją wały nie uderzyły o tę opokę o którą rostrzaskała się moja łódka; ale wioślarze szalupy tak zręcznie manewrowali że ominęli skały i przybili do brzegu po drugiéj stronie. Zostałem przyjęty do tego okrętu amerykańskiego który płynął do Hawru i którego kapitan przyrzekł odwieść mię do mego kraju. — Znalazłem znowu moję chatkę i dzieci, brak tylko waszéj matki, któréj już nie ujrzemy nigdy!

— „Zobaczycie ją tam!“ — ozwał się głos poważny i uroczysty. Wszyscy odwrócili się w tę stronę i ujrzeli pastora, który stojąc na progu słuchał opowiadania Jana Cauvin. Zbliżył się

do niego, przemówił przyjaźnie, dowodząc mu że pośród swego nieszczęścia widocznie był broniony przez opatrzność, i że Bóg który go nie opuścił, i opiekował się dziećmi jego, przyjdzie mu i teraz w pomoc; poczém odwróciwszy się do obecnych, przemówił do nich tkliwie, prosząc w końcu aby wszyscy mieszkańcy złożyli się na kupienie łodzi dla Jana Cauvin. Wszyscy bez wyjątku bogaci i ubodzy przyjęli ochoczo to przełożenie i w kilka chwil złożyli w ręce pasterza stosowne do stanu i zamożności każdego ofiary, których ogół trzykroć przenosił potrzebną na sprawienie rybackiéj łodzi summę.

UROIENIE.

Nie traw serca ogniu miły!
Myśli, nie marz o miłości!
Przez was nikną moje siły,
Zapominam o przyszłości,
Że wzajemnością jéj błyszczy wejrzenie,
To jest tylko urojenie.

Patrzcie mém okiem w jéj oczy.
Litość w nich ujrzycie,
Ze wasz ciężar myśl mą tłoczy
Potrzebneż mi wasze bycie?
Opuśćcie serce, zostawcie wspomnienie!
Ja znam moje urojenie.

Lecz jeźli trzeba karmić was cierpienem
Wznieććie w jéj duszy toż samo uczucie,
Niech jednym serca pałają płomieniem,
Lub jedno niech je niszczy zatrucie!
Lecz to myśl płonna, daremne życzenie...
Ona moją?!... urojenie!

Walenty Wróblewski.

MODNE

MAŁŻENTSWO.

Zdaje się margrabio, że hrabia żeni się podług nowéj mody.

— Jakto pan rozumiesz, baronie? Czyliżby hrabia zawierał niestosowne związki?

— O bynajmniéj, Bogu dzięki, jeszcze nie zbliżył się tyle do ducha tegoczesngo. Mówię

tylko o kształcie nie zaś o istocie tego małżeństwa, dziś albowiem uwozi swoją żonę, wczasie uczty weselnéj, pędzi pocztą do Wenecji i Neapolu, i zamiast pozostać szczęśliwy w swoim zamku, spieszy ukończyć swoje wesele po angielsku, w jakiéj nędznéj oberży na gościńcu.

— Czy być może, baronie? Otóż to są skutki postępu wieków, za naszych czasów nie zawierano małżeństw podobnym sposobem!... i chociaż mieliśmy zwyczaj nie szukać południa o drugiéj godzinie, domy naszych rodziców były dla nas świętemi, nie oddalalismy się od tych którzy nam życie dali, czy szczęśliwi czy nieszczęśliwi, zawsze byliśmy złączeni ścisłym węzłem rodziny.

— Rodziny!... niestety!... włożyłeś palec między drzwi, rodzina była dawniéj czémciś, dziś jest tylko czczym wyrazem!.. Niezawisłość staje się egoizmem, przechodząc z życia towarzyszkiego do prywatnego, i nieraz człowiek nadużywając jéj, staje się sam powodem licznych cierpień.

— W istocie, nasza powaga ojcowska, zaczyna się starzéć i nasze siwe włosy tracą swoje przy-

wiléje, jak wszystko zczasem na świecie. Nasze dzieci nie umieją szanować istnienia i nazwiska jakie im daliśmy!.. Czekają tylko sposobności aby je unieść wraz z naszemi majątkami i uwolnić się od nas przez małżeństwo, jak pragną bankruci uciec za granicę. Nie mamy już wtenczas prawa okrywać młode małżeństwo naszemi ojcowskiemi skrzydłami, i skoro tylko damy im nasze błogosławieństwo, zostawiają nas w naszych starych zamkach, aby ulecieć na drugi koniec świata.

— A to tylko dla tego aby się nie żenić po mieszczańsku.

— Wolałbym to.

— Jak na przykład ci wieśniacy których widzisz klęczących przed ołtarzem.

— Oni nie pojadą na gościńcach używać szczęścia małżeńskiego pożycia, i będą szczęśliwi.

Ta rozmowa filozoficzna i moralna miała miejsce w małym wiejskim kościołku niższéj Normandji. Dwa śluby odbywały się w téj chwili; jeden przed wielkim, drugi przed małym ołtarzem; pierwszy panny Villeroy z hrabią Marillac drugi jego dzierżawcy, z mleczną siostrą jego narzeczonéj. Lecz odmienne były charaktery te-

go podwójnego odchodu; natura przewodniczyła dzierżawcom, etykieta ich państwu. Wieśniacy łączyli swe proste serca aby byli jednakowo szczęśliwi. Ferdynand przeciwnie, godny reprezentant elegancji paryskiéj, chciał utworzyć zswego małżeństwa romans i po złączeniu się z Eufemją, porwanie swojéj małżonki, miało być pierwszym rozdziałem tego romansu. Ta moda wyższych towarzystw Francji, pożyczona od Anglików, przez swoją osobliwość uwiodła wyobraźnię młodego człowieka, gardzącego cichém i pospolitém szczęściem, aby się oddać poetycznym marzeniom swego wieku.

— Porwać swoję żonę! rzekł do siebie, to musi być szczególnie, to powinno podwoić rozkosze małżeństwa, nadając im powab swobody i szczęścia.

Jakiż tryumf! zerwać od razu związki dawnego życia, i puścić się na tysiączne przyjemności nowego istnienia!.. skończyć niespodzianie zimne i prozaiczne szczegóły obchodu weselnego, wydrzéć się z nieznośnego tłumu, aby się znaleść sam z tą którą się kocha, aby ją unieść pod iskrzące gwiazdami niebo; i sami, w powozie, porywani szybkością ognistych ru-

maków, pędzić tam gdzie nam się podoba; pędzić do Neapolu, Florencji, Rzymu, lub Wenecji! nigdzie nieznani jakbyśmy nie istnieli, a tak wszędzie swobodni jakby śmy sami byli na świecie! Nie jestże to być uwolnionym od wszelkich przeszkód tamujących naszą swobodę? nie jestże to usunąć się od nudów świata, aby się oddać wszelkim rozkoszom czarującéj natury?.. nie jestże to odmłodzić stary hymen przypinając mu skrzydła młodego kupidyna?.. nie jestże to nakoniec urzeczywistnić marzenia całego życia? urzeczywistnić to szczęście dwóch tylko serc, to arcydzieło egoizmu. A nakoniec jest to w dobrym tonie zniknąć podobnie z swoją żoną, wszyscy książęta żenią się tym sposobem, a dzienniki wszystkich prowincji i Paryża nie omieszkają zapewne donieść, że młody hrabia de M... z zachwycającą panną V... ujechali pocztą do Włoch zaraz po poświęceniu ich małżeństwa. Ileż są ważne te dwa wiersze!... i jakie z nich skutki wypłyną!...

Tak mówił do siebie hrabia Ferdynand Marillac. Omamiony miłością własną zapomniał

o swoim starym ojcu, o kochającéj go matce o całéj rodzinie swojéj żony, która mu ofiarowała piękny zamek jako jéj posag, o spokojném życiu i o tysiącznych rozkoszach, które miały mu pomnożyć szczęście pierwszego i słodkiego miesiąca małżeńskiego pożycia; niewdzięczny, o wszystkiem zapomniał, dwie tylko myśli przesuwały mu się w wyobraźni, dwa tylko przedmioty zajmowały go, to jest powóz pocztowy, który od rana kazał przygotować i jego żona, którą zdawał się pożerać namiętnemi oczyma. Tak więc jego radość była zupełną, gdy innym myśl o rozłączeniu, wstrzymywała uśmiech na twarzach.

Związek Wilhelma z Magdaleną, powiększał ich żal przez swą sprzeczność, wszyscy tu bowiem byli szczęśliwi, i wylani dla siebie. Nie rozrywano tam związków rodzinnych, ale przeciwnie sciśléj się niemi łączono i nic się w ich domu nie zmieniło.

Wieczorem gdy dziewiąta uderzyła na kościelnym zegarze, po uroczystości weselnéj nastąpiła uroczystość miłości. Wtenczas to w ich chatce zaczęły się najczulsze obrzędy; były to błogosławieństwa rodzin, i gdy zabrzmiał we-

soły spiew dla nowożeńców, opuszczono ich w ufności i bez żalu.

U hrabiego było zupełnie przeciwnie, wszystko się odbywało skrycie i z poruszającym smutkiem. Nie odbierał on swojéj żony z rąk rodziców, ale prawie wykradał, i zdawał się ją chcieć co prędzéj wciągnąć do swojego pojazdu. Szczególniéjszy apartament małżeński!..uściski ich rodziny, pożegnania, były przerywane łzami, tłumionemi westchnieniami, i niechętnym szmerem; nakoniec ostatni odgłos żałości przygłuszył turkot wartko pomykającego się pojazdu i hrabia uciekł jak ptasznik z swoją zdobyczą.. Opuszczona rodzina powróciła smutnie do zamku, gdy zaproszeni powracając od dzierżawcy w wesołych śpiewach głosili szczęście nowożeńców.

Ale wszystkich cierpień, najdotkliwszych nawet wrażeń, łatwo zapominają kochankowie, skoro się po raz pierwszy znajdują sam na sam. gdy im przy tém prawa boskie i ludzkie mówią: Bądźcie jedno dla drugiego. Dla tego też Ferdynand i Eufemja w podobném będąc położeniu, wkrótce wymazali z swéj pamięci

smutne pożegnanie, bo jedno pocałowanie dostateczném było aby otrzéć łzy i zapomniéć o całym świecie.

Jakkolwiek bądź to zachwycenie długo potrwać nie mogło, i w miarę niedogodności jakie dobrowolnie sobie utworzyli, ich omamienie zwolna znikało i wkrótce się ujrzeli w państwie rzeczywistości.

Spostrzegli nakoniec że ich szczęście było urojone, równie jak i to, że mając gwiazdę miłości znaleść w powozie, znaleźli tylko nie wygodne więzienie. A więc miłość w więzieniu!... jest to ptak w klatce.

Ptak nie mogąc latać, może przynajmniéj spiewać, podobnież więc i hrabia rozpoczął miłosną rozmowę, ale i w tém znalezli nieszczęśliwi przeszkodę o któréj zapewne nie pomyśleli, turkot pojazdu głuszył dzwięk ich głosów, a przeraźliwe skrzypienie drzwiczek tłumiło ich gorące westchnienia. Musieli więc poprzestać czułéj rozmowy, nie chcąc pozrywać piersi krzycząc sobie w uszy.

Nic im zatém nie pozostało, jak tylko marzyć przy świetle księżyca, na szczęście czas

był piękny, była to jedna z tych nocy chłodnych i woniejących, jakie zwykle następują po skwarnych dniach sierpnia.

Podniosłszy zasłony swego pojazdu, hrabia, wziął rękę swojéj małżonki i zaczął rozmyślać o niebie... Jego młoda żona była zachwycającą, a niebo czyste i pogodne... tylko tak na srebrnéj tarczy księżyca, jako i na pięknej twarzy Eufemji rozciągał się lekki cień melancholji, który się co raz smętniéjszym stawał.

Dwaj nowi nieprzyjaciele szczęścia Ferdynanda, to jest burza i nudy, postępowały podawszy sobie ręce. Nudy powitały go naprzód ale i burza nie omieszkała za niemi postępować. I pierwsze ziewnięcie szczęśliwego małżonka było znakiem gwałtownego deszczu. Musiał więc okna zamknąć i uwięzić się na piękne. Ulewa trwała przeszło godzinę, po któréj mocny grad nastąpił a błyskawice i grzmoty towarzyszyły mu, tak więc pośród téj walki wzburzonych żywiołów, śród czarnéj nocy, na drodze gdzie massy piasku i pyłu zmieniły się wbłotniste bagno, powóz małżeńskich rozkoszy, był po-

dobnym do opuszczonego okrętu, błąkającego się bez masztów i kompasu po wzburzonych falach rozhukanego morza. Grad i deszcz bez ustanku biły w okna, konie lękając się błyskawic, zaledwie chciały być posłusznemi razom woźnicy. W miarę złéj drogi trzęsienie powozu pomnażało się, co miało szkodliwy wpływ na delikatne nerwy Eufemji.

— Ah! nagle wykrzyknęła i drżąca ze strachu rzuciła się w głąb pojazdu.

Przyczyną jéj przestrachu był monstrualnéj wielkości grad który wybił szybę, jedyną zasłonę przed ulewnym deszczem, gwałtowny wiatr pędził ogromne krople wody na twarz Eufemji a szczątki potłuczonego szkła upadały na jéj kolana.

— Przekleństwo! zawołał traiczne Ferdynand.

Widząc jak jego położenie było śmieszném, przeklinał w duszy małżeństwo podług najnowszéj mody.

Przysuwając się więc do okna i korzystając z wybitéj szyby:

— Gdzie jesteśmy? zawołał głosem podróż-

nego pytającego się sternika w czasie burzy. Woźnica wymienił nazwisko nieznajomego miasteczka.

— Jak daleko od miasteczka Lizieux? zapytał hrabia tym samym tonem.

— Mniéj więcéj ze trzy mile, odrzekł woźnica.

— Jeszcze trzy mile! Rzekł mąż z miną zmartwienia, i cofając głowę z okienka, po chwili zamyślenia zawołał powtórnie na woźnicę.

— Dwadzieścia pięć dukatów dostaniesz, jeżeli za trzy kwandranse staniemy w Lizieux.

Konie ruszyły w największym galopie, a hrabia zajął miejsce przy swojéj zmrożonéj małżonce.

Marillac niecierpliwie pragnął stanąć w Lizieux, ponieważ miał nadzieję znaleść tam kres wszelkich niedogodności. Przewidując jednakże że Eufemja będzie potrzebowała spoczynku przez noc zapewnił sobie zawczasu wygadną stancyjkę wtém miasteczku: Biedny nocleg, rzekł do siebie, który miłość ozdobi w przejeździe. Wzdychał więc do tego biednego noclegu jak do wyspy Eldorado, a myśląc o przedziale i czasie jaki ich jeszcze od niego rozdziela, drżał na przemian z nie-

cierpliwości i tęsknoty, spoglądając na siebie i swoją żonę z wyrazem cichéj litości i wstydu. Panna Villeroy chcąc się uchronić od dziennego skwaru, wyjechała tylko w lekkiéj grodenaplowéj sukni, która słabą teraz była osłoną od wiatru i deszczu, była więc skościałą od zimna, a jej drżenie nerwowé było podobném do febry.

Wszystkoby jednak dało się ułagodzić, gdyby przybyli do Lizieux w czasie pożądanym, ale biedni małżonkowie dopiero zaczęli swoje cierpienia i muszą doświadczać aż do końca rozkoszy małżeństwa á 'anglaise. Nie przebyli jeszcze i pół mili od miasteczka wymienionego przez pocztyljona, gdy konie z nadzwyczajną pędząc szybkością, wywracają pojazd na środku drogi, mąż, żona, woźnica jeden tylko krzyk wydali, i po nieporządku trudnym do opisania, każdy się dziwił że jeszcze żyje. Hrabia wydobywając Eufemję z pojazdu przez potrzaskane drzwiczki uczuł że ma rękę stłuczoną i tak czuła para została na gościńcu, w położeniu które czytelnik raczy sobie wyobrazić.

Największe nieszczęścia tę mają zaletę, że przynajmniéj nie mamy kłopotu w wynalezieniu

sposobu wydobycia się z nich. Jedyna droga ocalenia przedstawiała się wywróconym małżonkom, to jest jak najprędzéj pospieszyć do sąsiedniéj oberży za przewodnictwem niezgrabnego woźnicy. Niepotrzebowali namyślać się aby się chwycić téj drogi i przez bałwany wody i błota, przy huku piorunów i blasku błyskawic karawana w cienkich trzewikach wyruszyła po omacku ku Pierseux. Była godzina pierwsza z rana gdy tam przybyli, a woźnica poprowadził ich prosto do karczmy, jedynego schronienia jakiego mogli się spodziewać.

— Ah, przecie, rzekła Eufemja na widok karczmy.

— Ah przecie, powtorzył Ferdynand ściskając jéj rękę.

I pocieszeni na widok nędznéj strzechy, jak dusze pokutujące przy wnijściu do raju, oboje zapomnieli już wszystkich cierpień, w nadziei jednéj godziny spoczynku i miłości, kiedy oberżysta ukazujący się na progu, w szlafmycy bawełnianej, oświadczył im że ich nie może przyjąć

— Jakto, nie możesz? zawołał hrabia ogłuszony tym ciosem.

— Martwi mię to równie jak państwa, ale niestety tak jest istotnie jak powiedziałem. Jarmark jest od dwóch dni w naszém miasteczku, i dom mój napełniony jest od strychu do piwnicy.

— Mały pokoik na kilka godzin.

— Ani nawet izdebki na kilka minut.

— Ani łóżka w jakimbądź kąciku.

— Aui nawet siennika na gołéj ziemi, łaskawa pani; bo z każdego łóżka już trzy zrobiłem, i sam dla siebie mam tylko snopek słomy.

— Ah, mój Boże! zawołała zmartwiona młoda dama.

— Zlituj się! zawołał hrabia myśląc o swoim pięknym zamku Marillac, pomyśl, co możesz dla nas uczynić.

— Dać państwu wysuszyć się w kuchni i ofiarować dla pani krzesło, na spoczynek do dnia.

Trzeba było poprzestać na téj nędznéj oficerze i przyjąć za komnatę ślubną, brudną kuchnie karczemną. Jeszcze nawet to nikczemne schronienie trzeba było podzielić z jedną służącą oberży i owczarką. Tam to hrabina de Ma-

rillać przepędziła noc weselną przed kominem na którym się torf palił, podczas gdy jéj mąż biwakował za drzwiami które ich przedzielały.

Zmieniwszy tysiąc razy postawę i nie mogąc zasnąć w żaden sposób, prześladowany żalem a niekiedy wyrzutami sumienia, hrabia wpadł nakoniec w rodzaj odrętwienia, w pół snu, ulegając zbytniemu znużeniu; ale ten przymuszony spoczynek był dla niego nową męką bo mu sprowadził sen przykrzejszy niż cała jakkolwiek przykra rzeczywistość. Zamiast angielskiéj podróży za którą tak okropnie musiał płacić, śniło mu się że w zamku swoim odbywa wesele jak zazwyczaj wszyscy śmiertelni. Jego biesiadnicy względni na rożne okoliczności, oddalili się dość wcześnie i oczekiwał na swoją młodą żonę w przygotowanym dla nich pokoju. Wszystko w tym pokoju rozkosznym oddychało tajemnicą i miłością, a miękkie firanki jedwabne pokrzyżowane nad oknami, i wygodne meble, dwie równe poduszki obszyte blondyną i koronkami, i lampa nocna, na boku rzucająca światło przyjemne... To wszystko przejmo-

wało serce Ferdynanda wzruszeniem żywém i nieznaném, czuł jak lekko rozpływa się oczekując swéj pięknéj żony. Nakoniec matka Eufemji wprowadza ją do jéj męża, już safjanowe trzewiczki zaszeleściły na podłodze; drzwi pokoju otwierają się z cicha, a ręce hrabiego wyciągają się ku jego żonie...

Ferdynand był w tém miejscu swego snu, kiedy nagle przebudził go głos stentorowy:

Panie Marillac, wołał pocztyljon, powóz już gotowy do podróży, czekam tylko na rozkaz zaprzęgania.

Ferdynand powstał i przetarł sobie oczy, na to wyraźne dotknięcie rzeczywistości.

— Wróć tu za pięć minut, rzekł do woźnicy, aby sobie dać czas do namysłu.

I poszedł nieśmiało do kuchni, zobaczyć jak się ma jego żona.

— Koni natychmiast! zawołał wróciwszy prawie w téj saméj chwili.

— Czy daléj do Lizieux, panie hrabio?

— Przeciwnie, do zamku do Marillac, gdzie

musiemy być najdaléj za trzy godziny.

Pocztyljon pospieszył wykonać rozkaz, czyniąc na boku uwagi nad krótkością podróży we Włoszech i nad kaprysami państwa młodych, którzy się zaślubiają po angielsku.

Ale postanowienie hrabiego nie było kaprysem, lecz środkiem którego wymagał stan Eufemji. Znużenie i bezsenność ślubnéj nocy, połączone z wzruszeniami i wstrząśnieniami dnia wczorajszego, uczyniły ją dość mocno cierpiącą, tak iż spoczynek i tkliwe staranie lekarskie stały się jéj koniecznemi.

W kilka chwil powóz był zaprzężony. Ferdynand kazał zajechać przed same drzwi karczmy, aby choć kilka kroków oszczędzić swojéj żonie. Ale zaledwie podał jéj rękę aby pomódz jéj wejść na stopień powozu, kiedy nowy wypadek zatrzymał ich jeszcze, — jak ostatnie krople kielicha goryczy, który on sądził że już do dna wychylił. Był to żandarm, który po wojskowemu przywitał państwa podróżnych, prosząc o okazanie papierów.

— Oto są, rzekł z niejaką niecierpliwością

hrabia, spiesznie szukając w kieszeni pojazdu, gdzie włożył swój paszport.

Na nieszczęście paszport zmienił swoje miejsce przez przewrócenie się powozu i przeszukano wszystkie schowania nie mogąc go wynaleść. Gniew hrabiego w czasie tych poszukiwań obudził podejrzenia żandarma.

— Przykro mi to, łaskawa pani, rzekł on uroczyście, ale rozkazy w téj chwili są daleko surowsze niż kiedykolwiek i muszę prosić państwo abyście poszli za mną do pana wójta gminy.

— Co to znaczy, pan aresztujesz nas? zawołał hrabia cofając się o trzy kroki.

— Nie aresztuję, odpowiedział grzeczny żandarm, którego słowa i poruszenia zupełnie były między sobą nie zgodne; proszę tylko państwa, abyście chcieli pójść za mną, powtorzył z uprzejmością prawdziwie municypalną.

Napróżno Ferdynand przekładał swoje położenie i nieszczęśliwy przypadek który go pozbawił jego papierów. Pomięszanie z jakiém opowiadał swoje wczorajsze zdarzenie, bardziéj jeszcze wzbudziło podejrzenie głęboko myślące-

go żandarma, i nasi młodzi małżonkowie musieli udać się do wójta w Pierseux. Tam pośród szeptań poważnych urzędników, sceptycznie nie wierzących w małżeństwa a l'anglaise, dostrzegł hrabia że żonę jego uważają za znakomitą i niebezpieczną osobę, która niedawno wylądowała w Havre udając się do Hiszpańji. Ta okoliczność byłaby go zabawiła w każdéj innéj chwili, ale w tym razie nie mógł śmiać się widząc że wójt i sędzia pokoju zabierali się do zrewidowania jego żony.

— Rewidować moją żonę! zawołał w uniesieniu, czując że miara jego cierpliwości przebrała się na tę nową ironję losu.

Mimo to jednak musiałby się był poddać téj nieszczęśliwéj operacji, godnéj uwieńczyć wszystkie inne nieszczęścia, gdyby przypadek raz przynajmniéj oświadczając się za młodemi małżonkami, nie dał hrabinie znaleść pod jedną poduszką powozu, nieszczęśliwy paszport, którego zagubienie tyle mogło być szkodliwém. Żandarmowie chcieli zmusić go do udania się stosownie do paszportu w dalszą drogę ku Alpom, ale podejrzenia jakie miano z początku już znikły i bez mozołu zwyciężył tę ostatnią trudność.

W dwie godziny późniéj, hrabia i hrabina de de Marillac wrócili do zamku swoich ojców, oboje smutni i słabi, ale zupełnie uleczeni z zamiłowania do małżeństw na sposób angielski.

Przejeżdżając około folwarku ujrzeli wesołą gromadę, obchodzącą wesele Wilhelma z piękną Małgorzatą.

Niech żyją małżeństwa francuzkie! zawołali szlachetni małżonkowie na ten widok.

I pośpieszyli naśladować Wilhelma i Małgorzatę, skoro tylko tyle wrócili do zdrowia że mogli obchodzić małżeństwo podług dawnéj mody.

HENRYK AGAPIT

WŁOSEK.

Powieść oryginalna

I.

ILLUMINACJA.

Nie wątpię mój czytelniku żeś nie raz był na illuminacji, wiesz zatém ile ten wieczór ma powabów dla kochanków różnéj klasy, próżniaków i złodziei, wiesz że można być dobrze wyszturganym, że można zabrać jaką drobną

znajomość albo postradać chustkę lub zegarek. — Pomimo to jednakże tłumy ludzi tłoczą się aby z uwagą przypatrywać się gorejącym lampom, i migającym świeczków. — Nie jeden modniś otworzywszy gębę na rozcierz, wpatruje się w okna, podziwia mnogość świateł, rozważa, zastanawia się, unosi się, jakby nigdy świecy nie widział, przed każdém przezroczem zatrzymuje się nieprzebyta massa ciekawych, ze wszech stron słychać wykrzykniki. Ah! jak to piękne!.. oh! cudowne!... O! to śliczne!... gdy tym czasem zręczni złodzieje podobnież ciekawie przeglądają ich kieszenie, i zaopatrują się w chustki, zegarki, i tym podobne przedmioty.

Było to właśnie w wieczór illuminacji; przy ponuro zachmurzoném niebie, jaśniéj odbijały gorejące światła, ulice Warszawy zapełnione były używającemi przechadzki, deptano się, popychano, przepraszano i daléj postępowano;— Pośród tego tłumu, kobieta już podeszła, prowadziła piękną ośmnasto-letnią córkę, pokazując jéj wszystko co tylko godném było uwagi; za nią postępował, wysoki i otyły mężczyzna, który o ile natłok dozwalał — usiło-

wał zajrzeć pod skromny kapelusik młodéj dziewczyny, lecz ile razy się nachylił aby się przypatrzyć jej pięknym rysom, tyle razy ujrzał marsowatą twarz jakiegoś barczystego mężczyzny, który za każdym razem wsuwając głowę między młodą dziewczynę a grubego jegomości, niweczył jégo zamiar i w miejscu delikatnéj i piękněj twarzyczki pokazywał mu swoje ogromne faworyty i wąsy, poczém zwykle śmiał się na całe gardło. Wyżéj wspomnionemu wąsaczowi towarzyszył młody człowiek, piękne rysy jego twarzy odznaczały się wyrazem szlachetności i niejakiéj dumy, ubiór jego był wykwintny ale nieprzesadzony. — Jego towarzysz był człowiekiem mającym lat 40, krótki jasny surducik, zapięty aż do góry okrywał jego okrywał jego ogromne barki, na szyi miał z niechcenia przewiązanę czarną chustkę z podktóréj wysuwał się kołnierzyk na dół wywinęty. Szerokie pantaljony przykrywały mu prawie całe buty, uzbrojone dość długiemi ostrogami, na głowie miał biały kapelusz a w ręku kij nie pospolitéj grabości. — Twarz jego nosiła znamie prawdziwéj męzkości, połowę jego policzków, zasłaniały gęste ciemno-

błąd faworyty, druga jaśniała dość mocnym rumieńcem; długie wąsy zakrywały mu prawie usta które za każdym uśmiechem ukazywały nadzwyczajnéj białości zęby.

Już było dość późno, tłumy się przerzedzały, swiece zaczęły dogorywać, wszyscy powracali do domów, nasza staruszką także z swoją córką spieszyła do swego mieszkania, opasły adonis nie zaniedbał im zdala towarzyszyć.

— Wiesz co Ludwiku, zawołał wąsaty atleta, jak widzę ten okseft na słomianych nogach, toczy sie za temi kobietami; chociaż ich nie znam nie chciałbym aby im jaką przykrość wyrządził; znam ja dobrze tego starego bałwana, ma żonę i dorosłe dzieci, a jednakże nie da spokojnie przejść kobiecie.

— Słusznie mówisz, Henryku, postępujmy zdala i uważajmy na niego, przykroby mi było gdyby chciał obrazić to niewinne dziecko.

— Co, obrazić? niech by się odważył, tak miękki befztyk odbiłbym mu na plecach, jakiego w żadnéj restauracji warszawskiej nie znajdziesz. Wszakże wiesz że mój ojciec był restauratorem, a ja poświęcając się sztukom pięknym, nie za nie-

dbałem zgłębić naukę robienia miękkiego befsztyku; tak jest mój przyjacielu, ja kucharstwo także liczę między sztuki piękne, z dwóch względów, raz że to jest bardzo piękna sztuka smacznie kogo nakarmić, powtóre pod względem starożytności, bo przecież ludzie dawniéj jadają jak wiersze piszą, ale gdzież są nasze damy i ich lekki jak zefir rycerz.

— Mijają kościół Sgo krzyża, odpowiedział Ludwik.

— I zakręcają na Alexandrję, zawołał Henryk, czyżby miały mieszkać w podziemnych lochach zamku de Nasów?.. może to jakie zaklęte księżniczki...

— Co ci się marzy, odrzekł Ludwik z niechęcią.

— No, wybacz mi, ale ja się wcale nie znam na kobietach; raz tylko kochałem, przedmiotem mojéj miłości była kobieta pełna wdzięków i rozumu, kobieta wychowana na wielkim świecie obeznana ze wszystkiém; była to kawiarka z Trębackiéj ulicy... śmiesz się, nie ma się z czego śmiać, przysięgam ci że ona była brylantem wszystkich zabufetowych piękności; a jak cnotliwa!.. czy wiesz, że pomimo licznych

podarunków, i trzech miesięcznego wzdychania ledwie mi pozwoliła pocałować się w czoło, oh, Ludwiku, gdybyś wiedział jak się wtenczas zapłoniła i aby ukryć swoje pomięszanie pobiegła do jakiegoś chudego jegomości pijącego kawę i potężnie zażyła tabaki, a potém spojrzawszy na mnie oczami pełnemi łez, rzekła z cicha, O! Henryku, zgubiłeś mnie, tylko węzeł małżeński może zagładzić błąd któregośmy się w obłąkaniu miłości dopuścili, przysiągłem jéj że się z nią ożenię, chociaż pocałowanie w czoło nie zdawało mi się tak wielką zbrodnią, ale przysiągłem bo ją kochałem... a ona szalała za mną, w kilka dni po tym wypadku djabli przynieśli entreprenera teatru z Lublina, bywał codziennie w kawiarni, dostrzegłem że się porozumieli, dręczony zazdrością, miotany rozpaczą, wpadam pewnego dnia z rana do kawiarui, jeszcze nikogo nie było, wyrzucam jéj niegodne postępowanie, wyrywam sobie włosy, wzdycham, płaczę, i w uniesieniu tak wściekle zacząłem machać rękami, że za jednym zamachem strąciłem tacę z sześcioma filiżankami i butelką araku. Chcę już wyjść aby nie patrzéć na niewierną, gdy ona z niewymownym wdzię-

kiem, z tą prawdziwą delikatnością wyższego świata, prosiła abym zapłacił za potłuczone przedmioty, a potém ściskając mnie czule za rękę, rzekła o mój drogi Henryku! potępiasz mnie niesprawiedliwie, chciałam cię tylko sprobować, chciałam doświadczyć twojéj miłości, przekonałam się że mnie kochasz, i przysięgam ci na mój honor, na moję poczciwość, że nikogo prócz ciebie nie kocham i nigdy kochać nie będę. Na tak święte zaklęcie jakże nie uwierzyć, przepraszałem ją, całowałem jéj drobne rączki i wypiwszy pięć szklanek groku, zapłaciwszy ośmdziesiąt złotych za potłuczone skorupy udałem się szczęśliwy do domu. Kilka dni upłynęło spokojnie, gdy pewnego wieczora przychodzę aby jéj donieść żem już zamówił obrączki ślubne! ah! Ludwiku cożem zobaczył!.. jeżeli to było próbą, to niech ją jasny piorun trzaśnie! wypadłem na ulicę jak szalony! biegałem, krzyczałem, nakoniec pobiegłem do domu i wypiwszy podrodze z ośm szklanek ponczu, rzuciłem się w rozpaczy na łóżko i nie obudziłem się aż o dziesiątéj nazajutrz, w tenczas to stanął mi przed oczami obraz jéj niewiary w najokropniejszych kolorach, ubrałem sie spiesznie i wyszedłem postanowiwszy połamać

wszystkie kości entreprenerowi, lecz czegóż się dowiaduję że ten oszust wyjechał o czwartéj z rana zabrawszy z sobą moją niewierną kochankę; jeżeli to także była próba niech ją wszyscy djabli porwą, od tego czasu nie wierzę żadnéj kobiecie i patrzéć nie mogę na żadnego entreprenera.

— W istocie, to jest okropna historja, rzekł Ludwik uśmiechając się. — Ale czy widzisz Henryku nasze damy dążą na Tamkę...

— A zefir coraz bliżéj nich wiać zaczyna, przyspieszmy kroku, jak widzę nie obejdzie się tu bez mojéj szpicruty, to mówiąc potrząsnął potwornie grubym kijem.

Dwaj przyjaciele postępowali coraz spieszniéj i wkrótce o kilka tylko kroków byli od opasłego kupidyna, który niekiedy przemawiał zcicha do młodéj dziewczyny, lecz tylko surowe odpowiedzi matki odbierał — Biedne kobiéty oglądały się na wszystkie strony, jakby wzywały pomocy przeciw staremu natrętowi, Henryk, już chciał postąpić i szepnąć mu cicho parę delikatnych frazesów, Ludwik go jeszcze wstrzymywał, lecz gdy ujrzeli że nieustraszony gruby jegomość ujął

pod rękę młodą dziewczynę i pomimo jéj usiłowań aby się wydrzéć, chciał ją prowadzić, natenczas nasi dwaj przyjaciele zastąpili mu drogę a Ludwik blady ze złości zawołał z godnością.

— Mój panie, jakiém prawem ubliżasz kobietom których nie znasz, mniejby mnie to dziwiło, gdyby się tego dopuścił, rozpustny młodzik, u którego niczém jest przyzwoitość i szacunek dla kobiet, ale w wieku pana, podobne postępowanie oburza, albo śmiech wzbudza.

— Naprzód uwolniam pana, odpowiedział gruby jegomość, od liczenia lat moich, iśm ieém również zwrócić do niego zapytanie, jakim prawem udajesz się w tę sprawę, gdy także jak mi się zdaje nie znasz tych kobiet.

— Prawem człowieka szanującego spokojność publiczną, prawem człowieka honoru, którego jest obowiązkiem stawać w obronie słabych kobiet.

— Jak widzę wracają się dawne wieki, odżyły czasy rycerskie, Bajardy włóczą się po nocach... odrzekł zefir, śmiejąc na całe szerokie gardło.

— Ah! panowie, rzekła atrwożona matka, chciéjcie nas uwolnić od grzeczności tego pana przebaczamy mu bo jest w błędzie, rozumie on że dwie kobiéty same, wśród nocy, muszą koniecznie ściągnąć podejrzenie, ale przysięgam że tym razem omylił się, jesteśmy biedne, mieszkamy w małym domku na Tamce, nasze dochody ledwo wystarczają na nieodbite potrzeby życia i dla tego nie możemy płacić lokaja któryby idąc za nami oddalił podejrzenia, i wiedział jak postąpić w podobnym wypadku.

— I jakżeby naprzykład postąpił, zapytał z szyderstwém gruby jegomość.

— Kijembyci plecy obłożył, krzyknął dotąd milczący Henryk.

A ty kto znowu jesteś? zawołał zefir, wyglądasz na stangreta, ale zapewne jesteś wiernym giermkiem włoczącego się Bajarda.

— Mój mospanie, nie jestem ani stangretem ani giermkiem, — Nazywam się Henryk Agapit Włosek, jestem synem niegdyś pierwszego restauratora, służyłem dziesięć lat w kawalerji, i ot patrz, dla tego jeszcze noszę ostrogi, to mówiąc Henryk obrócił się tyłem do niego, po-

dniosł nogę i oparł ją na jego brzuchu, patrz ieżeli nie wierzysz, jeszcze nosze ostrogi.

— Idźże głupcze z twojemi ostrogami, rzekł obrażony zefir, odpychając nogę Henryka.

— Co? ty mnie głupcem nazywasz, mnie, który służyłem dziesięć lat w kawalerji? Słuchaj stary tołombasie, mów do mnie z większém uszanowaniem bo tak moją pałką zabębnie na twoim brzuch u że się cała Warszawa obudzi.

Nieznajomy zmięszał się, ale nie tracąc odwagi odpowiedział z dumą: Jeżeli chcesz mój panie kawalerzysto aby cię szanowano, szanuj wzajemnie drugich, i wiedz z kim mówisz, nazywam się Antoni Wsiejowski.

— Wiem, wiem resztę, odrzekł Henryk, masz trzy kamienice w Warszawie, dwie wsie pod Lublinem, żonę i czworo dzieci, jesteś bogaczem, ale dla tego pamiętaj, że ja jestem Henryk Agap it Włosek, że służyłem dziesięć lat w kawalerji, i że choćbyś był bogatszy od samego Krezusa, nie dam sobie grać na nosie i dla tego radzę ci wracaj do domu, nie ubliżaj mnie i tym damom, jeżeli nie chcesz ażeby

mój dębowy kij spotkał się z twemi złotemi plecami.

— Na tak uprzejme prośby oddalam się mój panie Włosek, rzekł ze złością pan Wsiejowski, ale pamiętaj kawalerzysto, że będę się starał usilnie odwdzięczyć się za tak miłe ze mną postępowanie.

— Odwdzięczaj się albo nie, to mi wszystko jedno, a teraz idź do wszystkich djabłów i kłaniaj się twojéj żonie.

Pan Antoni odwrócił się i zwolna dążył ku Nowemu Światu, już było późno, ulice były puste — Młoda dziewczyna drżała ze strachu, nie wiedząc z czyich się rąk oswobodziła, a w czyje wpadła. — Ludwik to uważał i aby ją zaspokoić rzekł z nieśmiałością.

— Pani, zbyt jesteśmy szczęśliwi żeśmy zdołali cię uwolnić od natręctwa tego człowieka; teraz nic nam nie pozostaje jak pożegnać was i błagać o przebaczenie jeżeli staliśmy się powodem małego przestrachu lecz gdybym śmiał bez obrażenia pani prosić o pozwolenie odprowadzenia ich do mieszkania, spokojnie natenczas mógłbym spocząć w domu,

w przekonaniu że nic już wam się złego przytrafić nie może.

— Postępowanie, panów rzekła matka, zasługuje na zaufanie, śmiało więc powierzamy się jego honorowi, i zezwalam abyś nam raczył towarzyszyć aż do domu, już ztąd nie daleko, miniemy tylko klasztor Śgo. Kaźmierza i już jesteśmy u siebie.

Ludwik podał rękę młodéj dziewczynie, a Henryk jak tylko mogł najzgrabniéj prowadził jéj starą matkę.

— Czy wiesz pani, rzekł Henryk ciągnąć za sobą biedną staruszkę, że ten stary osieł tak mnie już rozgniewał, żem go o mało nie pomacał po żebrach, ale uszanowanie dla dam... o, bo trzeba pani wiedzieć że ja jestem nadzwyczajnie delikatnym w obecności dam, nauczyłem się tego służąc dziesięć lat w kawalerji, nawet nieprzyzwoitym wyrazem nie obrażę ich uszu, ale gdybym ja był sam na sam z tym tłustym wieprzem ziadłby wszystkich djabłów jeżeliby wyszedł ztąd na sucho.

— Nie ma się co dziwić, odrzekła stara, teraz mężczyzni są tak lekkomyśni.

— To mężczyzni, ale nie te stare graty, co się wszędzie szastają o ile im tylko dozwolą ich nadpruchniałe kości nie lubię tych sześćdziesiąt letnich fircyków, kiedym był w kawalerji... a! rynsztok..., pozwól pani niech ją przeprowadzę.

W téj chwili stanęli przed małym drewnianym domkiem, zapukano, a stara służąca wprzód ze cztery razy spytawszy się kto tam, nakoniec drzwi otworzyła, Ludwik i Henryk pożegnali nieznajome, które wynurzając im najczulszą wdzięczność, prosiły aby ich kiedy raczyli odwiedzić. Łatwo się domyśléć, że Ludwik najchętniéj przyjął to zaproszenie, a pozdrowiwszy raz jeszcze nieznajomę, wracał z Henrykiem tąż samą drogą do doma. Po drugiéj stronie ulicy, na kilkanaście kroków przed niemi, szedł jakiś człowiek który zobaczywszy ich powracających, przyspieszył kroku, i wkrótce znikł im z oczów.

— Założę się, rzekł, Henryk że to nasz czuły Wsiejowski, przemknął się nam przed oczyma.

— I ja tak myślę, odpowiedział Ludwik, śle-

dził nas zapewne aby się dowiedzieć o mieszkaniu nieznajoméj dziewczyny i lękam się...

— Czego się lękasz, cóżto czy my w Algierze żyjemi? aby takie bałwany robili co im się podoba, nieobawiaj się niczego, ja mu tak się przysłużę przed jego żoną, takiego mu piekła w domu narobię, że się odrzeknie nieznajoméj dziewczyny, a mnie w pień przeklinać będzie. — Zdaj te wszystko na mnie, wiesz ile ci sprzyjam, wychowaliśmy się razem, kocham cię jak brata, i dla ciebie, samemu djabłu oczybym wydłubał gdyby tego była potrzeba, żałuję tylko że ci wszędzie nie mogę towarzyszyć że za moje żołnierskie nawyknienia nie raz musiałbyś się rumienić, ale cóż czynić, już też i za stary jestem abym na nowo zaczynał moją edukację.

— Nie mój Henryku, nigdy nie jest zapóźno komu na szczeréj chęci nie zbywa, ja muszę cię odzwyczaić od przesiadywania w kawiarniach, na bilardach, i tym podobnie, bo wyznaj sam, czyliż to nie jest prożna strata pieniędzy i czasu?..

— Dobrze mówisz, odrzekł Henryk, poważnie pokręcając wąsów, nigdy nie jest zapóźno

komu na szczeréj chęci nie zbywa, potrzeba się poprawić i to jak najspieszniéj.

Ludwik zatrzymał się na krakowskiém przedmieściu, przed swoiém mieszkaniem. Do zobaczenia rzekł ściskając Henryka, jutro będziesz u mnie na śniadaniu?

— Dobranoc, Ludwisiu.

Henryk szedł ku staremu miastu, wywijając swoją pałką i gwizdając rozmaite żołnierskie piosenki, gdy się zbliżył do kolumny Zygmunta, nagle zwrocił na Podwale, przyspieszył kroku, niekiedy mrucząc z cicha. Tak, trzeba się poprawić i to jak najśpieszniéj, gdybym był poszedł przez ulicę Świętego Jana, moja kawiarnia możeby była jeszcze otwartą... a jak już powiedziałem, trzeba się poprawić koniecznie,... tędy nie ma żadnego niebezpieczeństwa.. tutaj wszystko pozamykane... tutaj głucho jak w grobie... ale nie!... kawa literacka jeszcze jaśnieje całym blaskiem!... Poncz hiszpański!... o losie! czyliż zawsze na mojéj drodze do cnoty będę spotykał te fatalne!... te złowieszcze napisy „ kawa, poncz, i herbata!... ha! stało się, już dziś ostatni raz w życiu!.. to mówiąc

wpadł do kawiarni, wypił tylko trzy szklanki hiszpańskiego ponczu, wyszedł, i jak mógł tylko najśpieszniéj wdrapał się do swego mieszkania na czwartém piętrze w starem mieście, tam powtórzywszy jeszcze ze sto razy „trzeba się poprawić i to jak najśpieszniéj, rzucił się na łóżko i zasnął.

II.

PRZYJACIEL.

Nazajutrz już było po dziewiątéj z rana a Henryk jeszcze się nie obudził, jego pomieszkanie składające się z jednego małego pokoiku mogłoby służyć za wzór kawalerskiego nieporządku, na okopconych ścianach przylepione były ryciny wystawiające żołnierzy ale tylko z ka-

walerji, pomiedzy dwoma oknami stał wielki czarny stół. na którym wszystko można było znaleść, leżał tam szczodrze rozsypany tytoń, obok bułki z masłem, buty zabłocone zapewne od tygodnia, spoczywały na głębokim talerzu, kilka książek sterczało z głębi wielkiego garnka, kołnierzyk mokł w atramencie, na listowym papierze leżał ser owczy, łyżka jednym końcem tonęła w szuwaxie, w kałamarzu tkwiła złamana świeca, nakoniec butelki, szklanki, kufle, kieliszki, i filiżanki, które stały lub leżały w rozmaitych pozycjach i kierunkach, dopełniały tego malowniczego haosu. Dla ochrony od słonecznego skwaru jedno okno było zasłonięte starą kołdrą drugie dziurawém prześcieradłem, opodal tego universalnego stołu, stał ogromny kufer w którym jak w arabskich puszczach błąkał się jeden biały kołnierzyk w towarzystwie chustki od nosa, na przeciwnéj stronie stał stołek drewniany, a na nim miska, mydło i dzbanek bez ucha, przy drzwiach czernił się wielki komin w nim kilkanascie butelek napełni onych... zapewne wodą. Henryk leżał na łóżku tylko do połowy rozebrany, musiało mu się jeszcze marzyć o hiszpańskim ponczu, bo niekiedy przez sen powtarzał, trzeba poprawić

się i to jak najśpieszniéj. Gdy nagle silnie zapukano do drzwi jego; Henryku, Agapicie, otwieraj, wołał któś hrapowatym głosem, kochany Włoseczku, czyś już umarł? Henryk zerwał się z łóżka na te ostatnie wyrazy, i pobiegł do drzw wołając: zaraz, zaraz, czegóż wrzeszczysz jakby cię kto ze skóry obdzierał, i za kręcił kluczem, a w téj chwili ukazał się we drzwiach jego przyjaciel, którego pomimo dojrzałego wieku wszyscy znajomi nazywali Jasiem. Ów dojrzały Jaś był to człowiek liczący najmniéj lat 50, najwięcéj półtora łokcia wzrostu mający, i dość pękaty, nielitościwa ospa nie ciesząc się licznemi dołami które mu złośliwie na twarzy wykuła, obdarzyła go jeszcze kilką znacznemi szwami które mu się ciągnęły od szyi aż pod małe bare oczki kryjące się pod cieniem gęstych siwych brwi, okrągła i wystająca broda, stykała się niekiedy z długim spuszczonym nosem, i walecznie wydzierała mu resztki rozproszonéj tabaki, połowa olbrzymich uszów kryła się w głębi wysokich kołnierzyków, druga zaś jaśniała wspaniale w chłodzie siwych i sterczących włosów... Jego okrągłą postać pokrywał ciasny granatowy frak z krótkiemi rękawami i

i kołnierzem niegdyś axamitnym, jasnożołte spodnie tonęły w przepaścistych i szerokich cholewach, a wysoki spiczasty kapelusz na jeden bok uchylony, zaledwie mu pół głowy okrywał, w ręku dzwigał kij żelazną siekierką opatrzony. — Gdy wszedł do izby zawołał tajemniczo?...

— Czy wiesz Henryku?...

— Nic nie wiem, odrzekł rozespany kawalerzysta, to tylko wiem że mi się spać chce.

— Czy znałeś panią Wsiejowską.

— Znałem.

— A jéj męża?

— O małom mu zeszłéj nocy kości nie pogruchotał.

— A toż za co? powiedz mi mój Agapitku?

— Smiał ubliżyć damie którą prowadziłem, a ty wiesz Jasiu czém to pachnie.

— O wiem, wiem, silny jesteś jak niedźwiedź, a wściekły jak tygrys, ale powróćmy do pani Wsiejowskiéj.

— Powróć sam jeżeli chcesz, a ja dospię tymczasem.

— Ale nierozumiesz mnie mój Włoseczku.

Kiedy ja mówię powróćmy, to się ma rozumiéć że zacznijmy na nowo mówić o niéj.

— I cóż tedy tak ciekawego powiesz mi o téj staréj hjenie.

— Dziś o godzinie 5téj z rana....

— No, cóż zrobiła?

— Umarła!...

— Umarła! o niechże ją jasny piorun trzaśnie! umarła w chwili kiedy mi najbardziéj była potrzebną.

— Potrzebną? czy nie możnaby wiedziéć na co, mój Henryczku?

— Można wiedziéć mój Jasieczku, oto na to, że chciałem jéj donieść o nocnych sprawkach jéj przerastałego mężulka.

— A jakżebyś tego dokazał, gdy jéj nie znasz osobiście.

— Tobiebym to polecił, mój Jasieczku, przecież ty jedyny jesteś do plotek.

— A! krzywdzisz mnie Henryku, ale powróćmy do Wsiejowskiéj.

— No, i po co tu powracać? umarła i skończyło się.

— Ale gdzie tam skończyło się, ty mnie znasz

dobrze, że lubię każdy wypadek wiedzieć z najdrobniejszemi szczegółami. — Otóż tedy tak było.

— Nudzisz mnie mój Jasiu, co tu ciekawego, zapewne położyła się, kichnęła chrapnęła i umarła.

— Otóż właśnie że ani kichała, ani chrapała, ani się położyła, ale przeciwnie, po miesięcznym leżeniu w łożku, powstała, gdy usłyszała że jéj mąż późno powróciwszy do domu, sprzeciwiał się jéj służącéj, wbiegła do przedpokoiku, a zobaczywszy, że pan Antoni wpół wziąwszy służącę usiłował ją pocałować, wpadła w wściekłość, rzuciła na męża pantoflem, padła na krzesło, i skonała. To wszystko powiedział mi ich kamerdyner, pod największym sekretem. Ale na wzajem chciéj mi powiedzieć kochany Włosku, jakąż to damę prowadziłeś, ty który jesteś takim nieprzyjacielem kobiet.

— Była to nieznajoma.

— Nieznajoma?.... rzekł zdziwiony Jasio.

— Nieznajoma, cóż w tym dziwnego żeś tak japę otworzył.

— Więc jéj nie znasz?

— Jakiś ty głupi, mój Jasiu, kiedy mówię że

nie znajoma to się ma rozumieć że jéj nie znam.

Nakoniec Henryk chcąc uniknąć pojedynczych zapytań swego przyjaciela, opowiedział mu z wszelkiemi szczegółami zdarzenie zeszłéj nocy; Jasio w ciągu opowiadania kręcił głową, mrużył oczy, i zażywał tabakę; gdy Henryk skończył, Jasio zawołał z miną tryumfującą.

— Więc powiadasz mój Agapitku, że mieszka na Tamce, w pierwszym domku za klasztorem Sgo Kazimierza.

— Tak jest.

— Znam ją.

— Znasz?

— Znam! Jéj matka jest wdową po dawnym urzędniku, pobiera pensji 1800 złotych rocznie i to jest ich jedyném utrzymaniem.

— A nazywa się! zapytał Henryk.

— Jak się nazywa?...

— Tak jest, przecież musi się nazywać.

— Córka nazywa się Emilja, a matka...

— Mniéjsza o to, nam tylko o córkę idzie.

— Jak to czybyście chcieli...

— Ja nic nie chcę, ale Ludwik będzie cze-

góś chciał od niéj, bo jak mi się zdaje, podobno jest zakochanym.

— Ależ mój Włosku, to jest dziewczyna cnotliwa, i wątpię aby Ludwik chciał... jéj przyszłość...

— Dla czego nie ma chciéć? Ludwik ją kocha, i jeżeli potrafi pozyskać jéj przywiązanie, to się z nią ożeni, Ludwik jest uczciwym, szlachetnym i bogatym młodzieńcem, może ją uszczęśliwić dla czegóżby nie miał chciéć...

— Tak to co innego, ja bo myślałem że..

— To też najlepiéj nic nie myśl, a podaj mi bóty stojące przy kominie, muszę się co prędzéj ubrać i spieszyć do Ludwika, przyrzekłem być u niego na śniadaniu, a wiesz że w mojém teraźniéjszem położeniu śniadanie bardzo mi jest potrzebne, bo będę się mógł obejść bez obiadu. — Wiesz mój Jaśiu, jeszcze nigdy nie byłem tak ogołoconym z pieniędzy, ostatnie 500 złotych które mi mój ojciec przysłał z Kalisza, nie wiem czy były u mnie przez dwa tygodnie, i wyjąwszy nowych ostróg i pudełka cygarów nic sobie więcéj nie sprawiłem.

— Bój się Boga, mój Agapitku, a gdzieżeś resztę podział.

— Połowę puściłem z dymem, a..

— A drugą połową pewno podzieliłeś się z tym starym awanturnikiem co to mieszka na Rybakach, zawsze ci mawiałem mój Włosku, że pierwéj trzeba pamiętać o sobie.

— A ja cię zawsze prosiłem abyś mi podobnych przestróg nie dawał, on jest mojm dawnym kolegą, jest biedny, i ja mając pieniądze nie miałbym się z nim podzielić, miałbym sam pić i jeść kiedy on umiera z nędzy i głodu,..... idź do wszystkich djabłów, ty nie masz wyobrażenia co to jest koleżeństwo wojskowe, ty rozumiesz że wszędzie jest jak u was w biurze gdzie jeden drugiego utopiłby w kałamarzu.

Jasio umilkł, a Henryk odwrócił się aby obetrzéć dwie wielkie łzy które mu w oczach zabłysły.

— Przepraszam cię mój Agapitku, ale cóż teraz poczniesz bez pieniędzy?... jabym ci pożyczył ale i moie dochody są tak szczupłe.

— Dziękuję ci, odpowiedział Henryk, spiesznie się ubierając.

— Ale gdybyś się udał do Ludwika.

— Nie, mój Jasiu, nie chcę nadużywać jego dobroci już i tak tyle mu jestem winien, a niech mnie djabli porwą jeżeli wiem zkąd mu oddam; — a potém muszę ci wyznać, cieszy mnie to że nie mam pieniędzy, bo ja muszę się poprawić... tak, poprawić koniecznie, i to jak najspieszniéj, dla nikogo nie jest zapóźno komu na dobréj chęci nie zbywa, a mając pieniędze, ani myśléć o poprawie, ty wiesz dobrze że te djabelskie blaszki do wszystkiego złego doprowadzą, gdybym ich był nie miał, nie przesiadywałbym w kawiarni, nie byłbym się zakochał w kawiarce, nie zakochawszy się w kawiarce, nie byłbym doznał wstydu że mi ją antreprener porwał z przed nosa... To mówiąc Henryk zamknął drzwi i udał się do Ludwika.

III.

DWA MIEŚIACE PÓŹNIÉJ.

Nie było jeszcze ósméj z rana, gdy pan Wsiejowski, już ubrany przechadzał się sążnistemi krokami po swoich pokojach, zdawał się na kogoś oczekiwać, zbliżał się do okna, a potém wracając na środek pokojów, często uderzał się

w łysinę, mówiąc „ Ten stary głupiec, widzę dziś nie przyjdzie, — ledwie to wyrzekł, drzwi się zwolna otworzyły, a najdziobatsze oblicze pełnoletniego Jasia ukazało się niecierpliwemu Wsiejowskiemu..

— Przybywajże, przybywaj stary nietoperzu, czekam cię już od godziny.

— Daruj J. Wielmożny panie, cokolwiek się spóźniłem, odrzekł Jasio kłaniając się aż do ziemi.

— Cóż tam nowego zapytał pan Antoni?

— Różnie, rożnie, Jaśnie W. panie, odpowiedział Jasio jeszcze niżéj się kłaniając.

— Oto nie kłaniaj się tak nisko, bo się we dwoje złamiesz, a lepiéj usiądź i powiedz co masz powiedzieć. — Cóż Emilja?...

— Źle Jaśnie Wielmożny panie, źle, to jest cnota twarda jak skała, a stara matka lepsze ma oczy jak argus.

— A Ludwik?

— Jeszcze nie powrócił z Płocka, i jak mi mówił jego przyjaciel Henryk, zabawi tam jeszcze ze dwa tygodnie, chce on bowiem ode-

brać swoje kilkadziesiąt tysięcy, które dostał w spadku po swojéj matce, Francuzce, bo trzeba JW. panu wiedziéć, że to jest dziecko francuzkiéj miłości... i sam nie wie, kto był jego ojcem.

— Czy tak? zapytał Wsiejowski.

— Tak, JW. panie; otóż jak mówiłem, chce on odebrać owe pieniądze, ulokowane na dobrach jakiegoś majętnego obywatela, i zaraz za powrotem do Warszawy, ożenić się z panną Emilją.

— Niech cię djabli porwą z twoją nowiną.

— Cóż czynić JW. panie, potrzeba o wszystkiém powiedziéć, aby potém wiedziéć jak temu zaradzić. Gdyby JW. pan raczył jak najłaskawiéj posłuchać swego najniższego sługi, podałbym mu pewien niewinny planik w téj mierze.

— Mów...

— Nie doniosłem jeszcze JW. panu, z jakiego źródła pochodzi moja znajomość z matką panny Emilji. Trzeba JW. panu wiedziéć, że mam kapitalik, którego chętnie z małym procentem udzielam potrzebującym; przed trzema laty matka Emilji nieodbicie potrzebowała tysiąca

złotych; przypadkiem udała się do mojego faktora, i przez niego pożyczyła ode mnie żądaną summę; wiesz JW. pan, że mam serce bardzo czułe, nie mogłem więc jéj odmówić pomocy; przez trzy lata nie płaciła mi procentu, ani oddawała kapitału, czekałem cierpliwie, bo mam serce bardzo czułe; nakoniec pozwałem ją, wygrałem sprawę, i uzyskałem wyrok, posłałem jéj komornika, lecz gdy wpadła do mnie ze łzami, prosząc, abym poczekał jeszcze sześć miesięcy, a za tę grzeczność wystawiła mi rewers na trzy tysiące, musiałem uledz prośbom, bo JW. pan wiesz, że mam serce bardzo czułe. — Termin wypłaty przypada za trzy dni, gdyby więc JW. pan chciał....

— Cóż takiego?...

— Gdyby JW. pan chciał nabyć odemnie ten rewers, upoważniłoby to JW. pana do uczęszczania w ich dom, jako wierzyciel, upominający się o swoję należytość; wtenczasbyś JW. pan mógł, albo obietnicami, albo groźbą coś pozyskać; mógłbyś jéj JW. pan przedstawić jéj świetny los, jeżeli ulegnie jego woli, albo nędzę pozbawienia jéj wszystkiego co tylko posiada, jeżeli się zechce sprzeciwić.

— Niezły pomysł... godzien twojéj głowy i serca, rzekł Wsiejowski, uśmiechając się pogardliwie; — cóż czynić, muszę się go chwycić, bo ją niewypowiedzianie kocham. Czy masz przy sobie ten rewers.

— Mam JW. panie, rzekł Jasio, z iskrzącemi z radości oczami, oto jest JW. panie; a to jest wyrok, po upływie dni trzech, możesz JW. pan wszystko jéj zatradować, bo jabym tego nie mógł uczynić, mając serce tak czułe.

Pan Wsiejowski otworzył biórko, i wyliczył trzy tysiące Jasiowi.

— Oto masz, rzekł, trzy tysiące, zabierz je, mój ty czuły człowieku, jesteś bardzo litościwym, jednakże nie życzyłbym samemu djabłu pożyczać od ciebie pieniędzy.

— Śmiem jeszcze jednę uczynić uwagę JW. panu, rzekł Jasio, udając że nie dosłyszał ostatnich wyrazów pana Wsiejowskiego. — Jeżeli JW. pan chcesz działać, potrzeba działać spiesznie; bo gdyby Ludwik powrócił, wszystkoby spełzło na niczém, on ma niezły urząd, ma kredyt, jest kochanym od swoich zwierzchników, mógłby się wystarać pieniędzy, zapłacić rewers, i wszystkie plany JW. pana zniweczyć.

— Będę korzystał z twojéj przestrogi, kochany mój Jasiu! rzekł pan Wsiejowski z szyderstwem, a teraz żegnam cię, idź pocieszaj nieszczęśliwych, i otwieraj twoją litościwą rękę dla cierpiącéj ludzkości.

Jasio pięć razy skłonił się pod kątem prostym i wyszedł. — Szydzisz ze mnie, mruczał, idąc po schodkach, mniéjsza o to, rewers zapłacony; przed tygodniem dałeś mi tysiąc złotych, jako wynagrodzenie, a jednak Emilja nie będzie twoją, ty mną pogardzasz... wiem o tém... ale Jasio nie taki głupi jak się zdaje... umie się czasem i pomścić... zobaczemy... Teraz spieszę do Henryka, donieść mu o wszystkiém. Tobie mój panie Antoni doradzam, bo mi płacisz, przed tamtym nic nie mogę ukrywać, bo się boję jego szpicruty.

IV.

OGRÓDEK NA GNOJOWÉJ GÓRZE.

Napróżno Jasio szukał Henryka przez cały dzień, dopiero wieczorem spotkał go przypadkiem na starém mieście.

— Kochany Agapitku, szukam cię od samego rana, jakże się masz mój Włoseczku.

— Nieźle, jak to widzisz, odpowiedział Henryk.

— Prawda, widzę to że nieźle, rzekł Jasio uśmiechając się złośliwie.

Wistocie Henryk był wesoły, rumiany, i zdaje się że nie można mu było zarzucić iż był zupełnie trzeźwym.

— I cóż mi powiesz, ty nadgniła pomarańczo, rzekł Henryk uderzając go dość silnie po ramieniu.

— Wejdźmy gdzie do kawiarni, opowiem ci zadziwiające nowiny.

— Do kawiarni, krzyknął Henryk, ja do kawiarni! Nigdy! poprawiłem się mój stary dziobaczu, przestałem włoczyć się po bilardach i kawiarniach, nie pijam ponczu i herbaty, chodzę tylko po ogródkach, pijam arak, wódkę i bawarskie piwo!... a co? rozumiałeś że się Henryk Agapit Włosek, syn pierwszego restauratora, pierwszy kawalerzysta na świecie, nigdy niepoprawi? przypatrz mi się... jaka odmiana, jestem zupełnie poprawiony z dawnych moich błędów, nic już nie pijam! a ty mnie stary djable kusisz do kawiarni, to mówiąc chciał silnie uderzyć laską o kamienie, a trafił w nogę biednego Jasia, który przez chwilę przeraźliwie krzyczał:

— Odcisk, dla Boga odcisk, umieram!

— Nie bądźże głupi, mój Jasiu, wrzeszczysz jakby ci kto zdrowe zęby wyrywał; bo i pocóż u djabła wystawiasz nogi jak baletnik.

— Agapitku, morderco! odcisk mój, odcisk! Biedny Jasio krzyczał stojąc na jednéj nodze oparty na ramieniu Henryka, a jak to zwykle się dzieje u nas w Warszawie, że wypadek żadnéj nie godny uwagi, zaraz ściąga tłum ciekawych próżniaków, tak też i w téj chwili zebrało się już małe koło chłopaków ze starego miasta i kilku żydów, aby z uwagą przysłuchiwać się narzekaniom Jasia i ciekawie śledzić najmniéjsze jego poruszenia.

— Przestań że krzyczeć, bo dostaniesz suchot gardlanych; a wy czego się gapicie osły, i cóż tu dziwnego że kogo odcisk zabolał? z drogi bałwany, wołał Henryk jedną ręką wywijając grubą pałką a drugą prowadząc kulejącego Jasia.

— Pójdź mój Jasiu, pójdź, wstąpiemy do najbliższego ogródka, to jest na gnojową górę.

Znanym jest zapewne czytelnikom mały ogródek wznoszący się na dość wysokiéj górze, utworzonéj z śmieci i gruzów wywożonych z miasta; kręgielnia, jedna ulica wysadzona kilkuna-

stu drzewami, altana z belwederem, mnóstwo ławek i stołów, a nakoniec widok na Wisłę, oto są wszystkie piękności tego miejsca. Była to właśnie Niedziela, ogródek był napełniony lubownikami kręgli, mazyki, piwa i obwarzanków, wszystkie ławki były zajęte, wszystkie stoły zastawione butelkami, trzech żydów konwulsyjnie wykrzywiając twarze, starało się wyskrobać na swoich instrumentach jakiś urywek z Roberta Djabła, ochocza młodzież rzemieślnicza pozdejmowawszy fraki lub surduty, różnym się oddawała rozrywkom; jedni towarzyszyli głosami muzyce, wyjąc Tyrola, w chwili gdy pracowita orkiestra pociła się nad wykonaniem chóru djabłów z Frajszyca, inni siedząc przy woich kochankach, z rzadką elegancją wydobywali z bezdennych porcelanowych fajek kłęby dymu, i puszczali im z figlarną poufałością pod nos, w dowód niewygasłéj miłości i szacunku; tamci znów w pocie czoła dobijali się o zaszczyt przewrocenia dziewięciu kręgli, inni wyłącznie zajęci tylko byli powiększaniem stojącéj przed niemi szklannéj baterji, a śród tych butelek, drzew, ławek, stołów, w tym mglistym obłoku dymu i kurzu, jak mary powstałe z grobów,

przesuwały się baby z obwarzankami, przy odgłosie orzechów włoskich, któremi potrząsał towarzyszący im Jarosławiak.

— Przestań że się już krzywić, rzekł z cicha Henryk do Jasia, ciągnąc go za sobą, przecie widzisz że jesteśmy w towarzystwie dam, a przysięgam ci na moje ostrogi, że jeśli djabeł jest tak brzydkim jak ty w téj chwili, to słusznie nas piekłem straszą. No, wyprostuj się, strząśnij z gorsu tabakę i utrzyj nos, bo wyglądasz jak dziecko po półgodzinnym płaczu.

— Ale boś mi nieznośnego bolu narobił, odrzekł Jasio na pół z płaczem.

— To nic, mój kochany, nic, powiadam ci, w porównaniu z wiecznością.

Henryk i Jasio, ledwie znaleźli miejsce, gdzieby mogli z sobą pomówić, stół przy którym usiedli był otoczony dwiema kobietami, Henryk chociaż ich nie znał ukłonił się uprzejmie, przepraszając je nie wiedzieć za co, zaczął z cicha rozmawiać z Jasiem. W miarę opowiadania Jasia, Henryk coraz bardziéj się zapalał, nakoniec zawołał z oburzeniem: I tyś mu sprzedał ten rewers?

— Cóż miałem czynić, rzekł uprzejmie Jasio, wymagał tego, a potém on dla tego jedynie nabył go ode mnie, żem mu oświadczył iż nie mogąc dłużéj czekać, zamyślałem prawnie odebrać moję należytość, chcąc zatém uchronić Emilję od odwiedzin komornika, kupił rewers aby tym sposobem zachować jéj spokojność.

— Osieł jesteś, mój Jasiu! krzyknął Henryk, kiedy nie mogłeś się poznać na tym starym wyłysiałym lisie!.., jeszcze kto? ty, który zęby zjadłeś na szachrajstwie! powtarzam ci, osieł jesteś, kochany Jasiu! Panno! piwa bawarskiego, ale z tego nic nie będzie, przeszkodzę jego zamiarom, jakem Henryk Agapit Włosek! to mówiąc tak silnie uderzył pięścią w stół, że sześć jajek które tylko co kupiły przy nim siedzące kobiety, stoczyły się na ziemię i wszystkie się potłukły.

— Ach! przepraszam, rzekł Henryk, potłukłem paniom jajka, ale to się zaraz da wynagrodzić; héj, baba z obwarzankami, niech panie raczą wybrać które najświeższe, to mówią powstał, zapłacił, jeszcze raz przeprosił i znowu zaczął rozmowę z Jasiem.

— Kiedy termin?

— Za trzy dni, odpowiedział Jasio.

— Cicho żydzi! wrzasnął Henryk na orkie-

strę, nie dosłyszawszy odpowiedzi Jasia, ty psie z czerwoną brodą tak głośno drapiesz po skrzypcach, że sam siebie słyszéć nie mogę.

— To też niech pan nie gada, tylko niech pan słucha i tańcuje!..., odpowiedział dyrektor orkiestry.

— Co, ja mam tańcować! cóż to ty oberwańcze myślisz, że do szewca mówisz...

— A cóżeś to ty lepszego od szewca, zawołał ktoś stojący w tyle, chwytając za ramie Henryka.

Henryk się odwrócił i ujrzał za sobą wysokiego i chudego mężczyznę, który z gniewem powtórzył zapytanie.

— Widzisz przed sobą Henryka Agapita Włoska.—Chudy zapaśnik mimo całego gniewu uśmiéchnął się, a kobiety z głośnym śmiechem uciekły do altany.

— I czegóż się śmiejesz bałwanie? żeby nie uszanowanie dla tych dam, dawnobym cię tak dmuchnął za ucho, żebyś się złamał jak świeca rurkowa.

— Hola, nie tak skoro, bo nas tu więcéj, mó panie gapicie, zawołał drugi nieznajomy, jeszcze chudszy i wyższy.

— Prawda, zawołał Henryk, śmiejąc się do rozpuku, jak widzę, to ogród urodzajny, same szparagi wyrastają.

Obrażony, chudy rycerz, popchnął Henryka, krzycząc: Pamiętaj, że we dwóch damy ci radę.

— To też ja jednego z was zaraz się pozbędę. Jeszcze nie wymówił, a już potężnym policzkiem obala szewca na nizką barjerę, oddzielającą ogród od spadzistości góry, barjera się łamie, a ostro-kościsty atleta toczy się na dół i pada w poprzek ścieszki, prowadzącéj do ogrodu; teraz już nie pojedyncza walka, ale ogólne powstało zamięszanie. Wszyscy rzucają się na Henryka, który wywijając morderczą pałką, nikomu zbliżyć się nie dozwala; kto tylko odważył się przystąpić, pewnie się cofnął, unosząc parę guzów na pamiątkę; długo bezskuteczne były usiłowania, wzięto się nakoniec do butelek, zatrwożył się cokolwiek Henryk, gdy usłyszał jak kilkanaście tych szklannych pocisków zawarczało w powietrzu, nie stracił jednak odwagi, uchylał głowy, podskakiwał, przyginał się, aby ujść razów, które mij ając jego, dostawały się innym osobom, nie mającym żadnego udziału w téj sprawie; w tém z zakątka ogrodu

leci butelka wprost na Henryka, uchylił się, a ta odbiwszy się dnem o drzewo, tłucze się na głowie baby z obwarzankami, która właśnie dla uniknienia niebezpieczeństwa, chciała co prędzéj umknąć z ogrodu. Baba pada w samych drzwiach, przeklinając Henryka.

— To nic, moja kochana!.. to się u nas nazywa dostać guza przez rikosze; a nakoniec któż ci winien, że masz łeb twardszy od drzewa, wołał Henryk, cofając się ku drzwiom, prowadzącym przez górę nad Wisłę; już był blizko pożądanego celu, kiedy mordercza butelka ugodziła go w głowę, i chociaż tylko lekko go skaleczyła, jednak uderzenie było silném; nie czekał więc drugiego podobnego upominku, i przeskoczywszy leżącą babę w progu, puścił się ścieszką z góry, i nim jego nieprzyjaciele przetłoczyli się przez wązkie drzwiczki i leżącą babę, Henryk już wskoczył do czołna i kazał się przewieść na Pragę. Był już daleko, gdy mu jeszcze wygrażano z brzegu, nie szczędząc obelg.

— Bądźcie zdrowe szparagi, wołał z daleka Henryk, gdyby nie uszanowanie dla dam, i nie

wasze butelki, wszyscybyście poszli do domu z obwiązanemi głowami.

Henryk wysiadł z czołna na Pradze, i chcąc się cokolwiek ochłodzić po tak ognistéj utarczce, rozebrał się i ledwie rzucił się do wody, *) gdy usłyszał za sobą znajomy mu dobrze głos: Henryczku, Agapitku, żyjesz przecie!.. odwrócił się i ujrzał za sobą okrągłą postać Jasia.

— A! i ty tutaj, Jasiu, tchórzu! drapnąłeś zawczasu, obawiałeś się, aby ci nie rozdrapali twoich ujmujących dziobów.

— Jakże, chcesz mój Agapitku, abym moje stare kości wystawiał na gburowate żarty téj chołoty.

— Nie było tam żartów mój Jasiu, pomacaj moją głowę, a przekonasz się, że jak na żart, to za wielki guz mi wyskoczył; ale mniéjsza o to, nie tyle mnie obchodzi małe draśnięcie, ile los Emilji, tém bardziéj, że Ludwik odjeżdżając,

---

(*) Było to w czasie, gdy składano ubrania na piasku w braku statków służących do rozbierania się, jakie dopiéro od lat kilku urządzono na Wiśle.

polecił ją mojéj opiece; bywam u niéj co kilka dni, a nic mi o tém nie mówiono.

— Bo też pan Wsiejowski dopiero dziś rano ten plan ułożył.

— Jednakże trzeba pomyśléć, aby temu zapobiedz.

— Tak, trzeba pomyśléć, aby temu zapobiedz.

— Musiemy jakim bądź sposobem dostać pieniędzy.

— Tak, musiemy jakim bądź sposobem dostać pieniędzy.

— I zapłacić przed terminem.

— Tak, koniecznie przed terminem.

— Ty mi pomożesz.

— A to jakim sposobem?

— Pożyczysz potrzebnéj summy, Ludwik ci odda.

— Ja? mój Agapitku, czyś ty zmysły postradał, czy nie wiesz jak szczupłe są moje dochody.

— Nie tak szczupłe, jak je wystawiasz; a nakoniec, jutro bądź u mnie rano, pomówiemy o tém, a teraz mój Jasiu ubierzmy się; niebo jest zachmurzone, i zapewnie niezadługo deszcz

lunie jak z cebra, a potém chciałbym się położyć, bo mnie nieznośnie głowa boli.

Jeszcze przez chwilę Henryk słuchał rozmaitych planów Jasia, gdy nagle zerwał się wiatr, jakiego od dawna nie pamiętano, czarne chmury powlekły niebo, ziemia drżała od huku grzmotów i piorunów, a gwałtowny deszcz z gradem utworzył mglistą zasłonę między niebem i ziemią, wszyscy rzucili się na brzeg, aby ocalić swoje ubranie, które wściekły wicher w rozmaite rozmiatał strony; w znacznéj odległości od mężczyzn, kąpały się kobiety, tam najokropniéjsze powstało zamięszanie; kapelusze, suknie, chustki, rozpięte parasolki, wszystko to w fantastycznych kształtach unosił wiatr nad lądem i wodą; ci ścigali swoje fraki, surduty, tamci w powietrzu łapali koszule, chustki, i tym podobne części ubioru, a krzyk kobiet i dzieci, pomnażał okropność tej sceny. W pośród tego haosu, Henryk niezmordowanie ścigając swój biały kapelusz, zapędził się prawie aż do miejsca, w którém się kobiéty kąpały, gdy ogólny odgłos rozpaczy obił się o jego uszy: Tonie! tonie! ratujcie! wszyscy wołali, tonie! ratujcie! a nikt się z miéjsca nie ruszył.

— Otóż to są rycerze Warszawscy, zawołał Henryk, wrzeszczą że tonie, a nikt nie śpieszy ratować; to mówiąc rzucił się do wody, i płynął nie wiedząc nawet w któréj stronie, nie szczęśliwa ofiara walczy ze śmiercią, gdy nagle biała postać ukazała się na powierzchni i znowu się pogrążyła w głębiach wody, Henryk ile mógł najspiesznićj płynął, biała postać jeszcze się raz blisko niego ukazała, jednym rzutem już był przy niéj i trzymał ją za włosy. Była to młoda dziewczyna, Henryk po długiéj walce z silnym wiatrem, i wzburzoną wodą, dostał się do brzegu, gdzie tłum kobiet oczekiwał skutku jego usiłowań. Gdy wyniósł młodą dziewczynę na brzeg, jakaś kobieta z krzykiem rzuciła się ku niéj wołając Juljo, kochana moja córko!

— Pani córka? zostawiam więc ją staraniom pani, a sam wybacz pani że się oddalam, mój negliż dłużéj mi tu pozostać nie dozwala, bo trzeba pani wiedziéć że szacunek dla dam u mnie jest przed wszystkiém.

To mówiąc, pędem spieszył na miejsce gdzie zostawił swoje ubranie.

— Ah! panie wymień mi przynajmniéj twoje

nazwisko, abym wiedziała komu winna jestem ocalenie mojego dziecka, — wołała za nim matka.

— Nazywam się Henryk Agapit Włosek, mieszkam na Starém Mieście, Nr. 44 na czwartém piętrze, odpowiedział z daleka Henryk.

Gdy Henryk przybiegł, gdzie się rozebrał, zastał Jasia w szczególniéjszém ubraniu, miał bowiem na sobie tylko frak i bóty.

— Co u wszystkich djabłów! zawołał Henryk, patrząc na obnażone jego nogi, wyglądasz jak dziki człowiek.

— Ah! Agapitku! nielitościwy wiatr tylko mi to zostawił.

— Zobaczemy w co się też wiatr ubrał z mojéj garderoby!.

— O ile mi się zdaje, dzięki ciężkim ostrogom, bóty ci tylko zostały. Odrzekł smutnie Jasio.

— Tylko bóty! takim sposobem będziemy wyglądali jak dwaj rodzeni bracia zawołał Henryk smiejąc się do rozpuku.

— Żart na stronę, mój Agapitku, ale jakże się teraz dostaniemy do Warszawy.

— Sposobem bardzo prostym, poczekamy tu

jeszcze z kwadrans, a zobaczysz że będzie ciemniéj jak przed stworzeniem świata, potém na łódkę i do domu.

— Tobie to łatwo powiedziéć, bo mieszkasz bardzo blisko, ale ja mamże w tym Adamowym stroju biedz aż na nowy świat, cóż powie na to moja żona?

— Najprzód trzeba ci wiedziéć mój Jasiu, że Adam ani fraka, ani bótów nie nosił, a nakoniec twoja żona niczém więcéj nie jest jak tylko Ewą, to się pogodzicie. Ale! prawda! gdybyś chciał do mnie wstąpić, mogę ci pożyczyć mojego starego szlafroka, i czerwonéj nocnéj czapeczki, a tak przynajmniéj będziesz jakokolwiek ubrany.

— Dobrze, dobrze, kochany Włoseczku wstąpię, niech ci Bóg to wynagrodzi.

Niebo co raz bardziéj zaczęło sią chmurzyć, wiatr ustał, ale deszcz nie przestawał lać strumieniami, na szczęście obszerne czółno w téj chwili przybyło do brzegu, w które oprócz Henryka i Jasia wsiadło jeszcze pięciu lub sześciu różnostrojnych rozbitków.

Obok Henryka usiadł jakiś młody elegant którego sążniste i zmoczone włosy przylepiły

się aż do połowy pleców, miał tylko na sobie zmoczone nankinowe pantaljony, modną chusteczką na szyj i białe rękawiczki.

— Przeklęta burza! zawołał długo-włosy młodzieniec, ile to ludzi musiało utonąć.

— Bezwątpienia, odpowiedział gruby komornik siedzący na przeciw Henryka, ale zaręczam że fraków, kamizelek; i tam daléj, więcéj utonęło jak ludzi, mnie jak pan widzisz wiatr zostawił tylko jeden trzewik i kołnierzyk, a zresztą wszystko zabrał.

— I to jeszcze bez wyroku, rzekł Henryk, tak, baryłkowaty komorniku, zabierałeś ty ludziom, przyszła koléj i na ciebie.

— A! jak się masz panie Henryku, jak widzę i ciebie burza nie oszczędzała, ale słyszałem tonęła jakaś młoda dziewczyna czy ją uratowano?

— Nie inaczéj odezwał się jakiś w tyle siedzący człowiek, któremu złośliwy żywioł wydarł wszystko prócz parasola, — Uratował ją jak mówią, jakiś Agapit Kłaczek.

Kłaczek zawołali wszyscy w pośród głośnego śmiechu.

— Mój panie rzekł Henryk obracając się,

nie przekręcaj cudzego nazwiska, bo cię mogę jeszcze raz skąpać w wiśle. — Tonącą dziewczynę uratował Henryk Agapit Włosek, sławny kawalerzysta, czego jest dowodem, że nawet wsciekły wiatr szanował jego bóty z ostrogami; a teraz zwiń pan swój parasol którym mnie ciągle w głowę szturgasz, bo jak sądzę nie zmokniesz nie mając nic do zmoczenia.

— Więc to pan ją wyratowałeś? zawołali wszyscy.

— Tak jest, było to moją powinnością, czyliż miałem podobnie jak wszyscy otworzyć gębę i patrzeć aż biedna dziewczyna utonie? nie do wszystkich djabłów, nie byłbym kawalerzystą, gdybym się wachał człowiekowi podać pomocną dłoń.

— Czy piękna? zapytał długo-włosy elegant, czy młoda, bo jeżeli nie to...

— To byś ją może nie ratował? zapytał Henryk, wstydź się mój panie, ja mam lepsze serce, bo gdybym widział tonące nawet takie głupie bydle jak ty, jeszcze bym się nie wachał wskoczyć za niém w wodę...

Wszyscy się uśmiechnęli, a młodzieniec nagle spojrzał w oczy Henrykowi, lecz przypatrzywszy się jego marsowatéj twarzy, i muskular-

néj budowie, odwrócił się i rzekł z niechęcią, W istocie bardzo pan jesteś litościwym.

— Czy nie wiesz pan kto jest ta dziewczyna, zapytał jegomość uzbrojony w parasol.

— Nie wiem.

— Dlaczegóż się pan jéj nie wypytałeś, kto jest, gdzie mieszka, jak się nazywa ecetera...

— Dla tego żę mi się nie podobało. i tam daléj...

W téj chwili czołno zatrzymało sie przy brzegu, nasi podróżni wyskoczyli na ląd i rozbiegli się na różne strony, każdy obiecując przewoźnikowi nazajutrz wynagrodzić, gdyż w obecnej chwili było to niepodobieństwém.

Henryk i Jasio spiesznie przybyli przejście zwane kamiennemi schodami i wkrótce stanęli na rynku starego miasta, ulice były puste i zalane wodą, pomimo tego nasi dwaj dzicy pędzili i nie zatrzymali się aż w mieszkaniu Henryka.

— Tam do djabła, wszystkie szyby wybite, ale tém lepiéj będzie mi chłodniéj, tém bardziéj, że głowa mi pała jakbym trzy wazy ponczu wypił, to mówiąc Henryk spiesznie ubierał Jasia w swój szlafrok który jednakże ma-

jąc ogromny rozpór w tyle nie zupełnie zakrywał przypadające mu części, potém włożywszy mu na głowę brudną-czerwoną czapeczkę otworzył mu drzwi mówiąc.

— Pamiętaj mój Jasiu, że masz szlafrok tak długi jak suknie kobiece teraźniejszéj mody, ugnjiże się cokolwiek, bo nie tylko że zamieciesz błoto na wszystkich ulicach, ale nadto możesz się jeszcze przewrócić. — Bądź zdrów, odwiedź mnie jutro, chcę z tobą pomówić. — Bądź zdrów, na honor wyglądasz jak warjat od Bonifratrów.

Jasio podług swego zwyczaju mruczał do siebie.

— Nic to nie szkodzi, Wsiejowski musi mi za to wszystko dobrze zapłacić.

Henryk położywszy się zawołał, piekielny dzień, przeklęty ogródek!...ale nie, gdybym nie był w ogródku nie byłbym dostał butelką w łeb, następnie nie byłbym uciekł na Pragę, a tém samém nie byłbym się kąpał i uratował życia biednéj dziewczynie... nie... wyborny ogródek na gnojowéj gorze, poczciwy wysoki szewc, jutro, jeżeli go spotkam podziękuję mu że mi rozbił butelkę na głowie.

V.

SKUTKI KĄPIELI.

Nazajutrz Henryk obudził się czując dokuczający ból głowy, znużenie dnia poprzedzającego, nadwątliło jego siły, nie mógł się nawet podnieść z łóżka, pragnienie go trawiło, a nie miał mu nawet kto wody podać. — Przemogła

potrzeba, zebrawszy więc resztę sił, zwlókł się z łóżka i chciwie porwał dzbanek z wodą; wtéj chwili zapukano do drzwi.

— To ja, mój Henryczku, otwórz, przynoszę ci list od Ludwika.

— W dobrę porę przychodzisz mój Jasiu, rzekł Henryk do wchodzącego, potrzebuję cię bowiem więcéj niżeli kiedykolwiek, jestem słaby, i mógłbym umrzéć, a niktby o tém nie wiedział.

— A więc dziś nie wyjdziesz?...

— Niepodobna, zaledwie mogę się na nogach utrzymać, potem wiesz że całą moją garderobę wiatr zaniósł do wszystkich djabłów, a może nie bardzo byłoby przyzwoicie, pokazać się w dzień na ulicy, w stroju w jakim wczoraj w nocy wróciliśmy do domu. Dawaj list, i skończywszy czytać zawołał:

— Do pioruna, czy wiész, że Ludwik ukończył interessa, i za ośm dni będzie w Warszawie, cóż na to powie, gdy w domu Emilji znajdzie puste cztery kąty. Jasiu, kochany Jasiu, musisz się wystarać pieniędzy jeżeli nie chcesz żebym tobie i sobie w łeb wypalił.

— Ale czekajże, mój Agapitku, nie bądź tak szczodrym w obietnicach, trzeba nad tem pomyśleć, trzy tysiące, nie jest trzy złote. Ja nie mam to ci dobrze wiadomo, ale przyślą ci takiego z którym możesz ułożyć ten interes. Zapewne znanym ci jest Mojżesz Liberka.

— Znam go dobrze, ale ty wiesz przecie że ten rudy pies, będzie chciał żeby cała Warszawa za mnie ręczyła, i żeby się ze sześciu ministrów na rewersie podpisało.

— Już ja to inaczéj ułożę. Bądź spokojnym, musiemy miéć pieniądze, a teraz powiedz mój Agapitku czego więcéj żądasz odemnie, bo muszę cię pożegnać, mam pilny interes do ułatwienia.

— Oto, mój Jasiu, przyślij mi twoją starą służącę, bo przecie widzisz że jestem słaby, i że potrzebuję jakiéjkolwiek usługi.

— Dobrze, przyślę ci ją za godzinę.

— Ale, jeszcze jedno, wstąp do mojego krawca, każ mu zrobić taki sam garnitur, jaki wczoraj poleciał w powietrze, ale to jak najprędzéj; masz tu pieniądze, resztę mu oddam jak mi suknie przyniesie. Szczęście że Ludwik odjeżdzając zostawił mi parę set złotych, inaczéj mu-

siałbym nie wychodząc z domu czekać jego powrotu.

— Dobrze, nie zapomnę o niczém, a teraz bądź zdrów Agapitku, za godzinę przyślą moją starą Urszulę, odeślę ci także twój turecki szlafrok i grecką czapeczkę. Henryk pożegnał się z Jasiem, który śpiesznie wyszedł i prosto udał się do pana Wsiejowskiego.

Pan Wsiejowski siedział jeszcze w szlafroku, był zamyślony, Jasio wszedł i podług zwyczaju kilka razy nisko się ukłonił, Wsiejowski rzekł z nieukontentowaniem.

— Źle rzeczy idą mój panie Janie.

— Jakto, Jaśnie wielmożny panie.

— Tak jest, wszystkie nasze starania są bez skutecznemi, Emilja o niczém nie chce słuchać, a jéj matka prawie mi drzwi pokazała.

— To źle J.W. panie, rzekł Jasio kłaniając się.

— Napróżno jéj przedstawiałem świetny los jaki ją czeka, na próżno przyrzekałem że się z nią ożenię, na to wszystko odpowiadano mi ze wzgardą.

— To bardzo źle, odpowiedział Jasio z złośliwym uśmiechem, ale cóż mówiły na rewers?

— Że nie są wstanie zapłacić, i że wolą jak najprędzej widzieć komornika zabierającego ich graty, aby się tym sposobem uwolnić od dalszych moich odwiedzin, zagroziły nawet, że gdybym ośmielił się po tém oświadczeniu, jeszcze raz obrazić ich mojém natręctwem, udadzą się do tego gbura Henryka, aby jako przyjaciel Ludwika uwolnił ich od mojéj obecności.

— To najgorzéj! zawołał Jasio, niby oburzony, lecz nagle wypogodziwszy dziobate oblicze rzekł tajemniczo, jednak nie trać J. W. pan nadziei myślałem ja o wszystkiém i nie tak wielkie jeszcze jest nieszczęście, jak J. W. pan sądzisz.

— Cóż chcesz przez to rozumiéć? zapytał Wsiejowski wpatrując się w Jasia.

— Racz J. W. pan jak najłaskawiéj posłuchać swego uniżonego i pokornego sługi. Rzecz się tak ma. Ile razy groziłem matce Emilji komornikiem, zawsze mi odpowiadała, że gdybym wydarł jéj szczupłe gospodarstwo musiałaby wyjechać do Lublina gdzie jéj syn jest małym urzędnikiem, a tym samym musiałaby mu stać się ciężarem, tym bardziéj że jego szczupły do-

chód ledwie wystarcza na nieodbite jego potrzeby, nie chcąc więc jako dobra matka być przyczyną niedostatku swojego dziecka, prosiła mnie zawsze o przedłużenie rewersu, dopóki jéj syn nie dojdzie do wyższéj gaży i nie zapłaci długu zaciągniętego przez matkę, czekałem, bo J. W. pan wiesz że mam serce litościwe.

— No, i cóż z tąd?

— Zaraz J. W. panie, — teraz więc potrzeba nam koniecznie pozbawić ich wszystkiego, a przez to zmusić do wyjazdu do Lublina; czy Jaśnie W. pan raczy zwrócić na to uwagę, że tam nie będzie żadnéj przeszkody, że J. W. pan mieszkając w swoich dobrach nie zbyt odległych od miasta, możesz codziennie ją widywać, że zaznajomiwszy się z bratem Emilji możesz go przez swoje wpływy posunąć na wyższy stopień, że pozyskawszy jego przyjaźń, szacunek, i wdzięczność, możesz wynaleść drogę do łaski matki, i serca córki, że nakoniec Emilja widząc jego niezmienne przywiązanie, skłoni się do jego życzeń, a wtenczas jestem pewnym że J. W. pan powie, "Jasio umie dobrze prowadzić sprawy miłosne.„

Wsiejowski długo patrzył w oczy Jasiowi, a szyderczy uśmiech igrał na jego ustach.

— Mój Jasiu, twój plan jest doskonałym, ale jeżeli ją teraz bez litości wszystkiego pozbawię, jakże potém wytłómaczę się z tak niegodnego postępku, nie sądzę aby ten czyn, godny najpodlejszego lichwiarza, mogła poczytać za dowód miłości.

— Przeciwnie J. W. panie. Powiesz J. W. pan że dla tego ją pozbawiłeś wszystkiego, abyś potém miał rozkosz otoczyć ją blaskiem i dostatkami, to będzie nawet miało charakter prawdziwie romansowy, przecież niedawno czytałem jakąś powieść w któréj uboga kochanka kazała okraść swego ulubionego, aby jego położenie przyprowadzić do równowagi, potém żyli na puszczy, karmiąc się miłością i korzonkami,... wszystko to są romanse a J. W. pan wie dobrze jak tegoczesne panny są romansowe.

— Ale cóż poczniemy z tym przeklętym Henrykiem.

— Przewidziałem wszystko, wiem że w wykonaniu naszych zamiarów byłby nam na prze-

szkodzie, bywa on często u Emilji jako opiekun wyznaczony przez Ludwika, ale nie widziawszy jéj od kilku dni nie wie nic o rewersie ani o J. W. pana odwiedzinach, aby więc przed czasem nie był o wszystkiém uwiadomiony i nie stawił jakiego oporu, postarałem się że ledwie za tydzień będzie mogł wyjść z domu, zaprowadziłem go bowiem do ogródka w którym rzemieslnicy często miewają bitwy, tam dwóch namówionych przezemnie szewców, wszczęli z nim żwawą kłotnię, i tak mu plecy obłożyli, że się nie prędko z łóżka podniesie, przy tém był wczoraj w kąpieli, burza pozbawiła go całego ubrania i ja wprawdzie uległem podobnemu losowi, ale myśl że J. W. panu mogę być użytecznym, pociesza mnie po téj stracie. — Tu Jasio opowiedział z wszelkiemi szczegółami wczorajsze wypadki, zamilczawszy jednak o wyratowanéj przez Henryka dziewczynie.

— A więc ci tylko frak i bóty zostały! zawołał Wsiejowski pokładając się ze śmiechu, musiałeś wyglądać jak jabłko pieczone na drewnianych nóżkach.

— To mi wszystko jedno J. W. panie, abym tylko mógł dopomódz jego zamiarom.

— Rozumiem... rozumiem... odrzekł Wsiejowski płacząc ze śmiechu, trzeba ci wynagrodzić za utracone ubranie? dobrze.... dobrze... ale dałbym sto dukatów żebym cię mógł widzieć w tym stroju.

— Gdybym o tém wiedział, byłbym ci się przedstawił, mruknął z cicha do siebie Jasio...

— Masz, mój Jasiu, rzekł Wsiejowski dając mu paczkę papierków, każ sobie zrobić nowy garnitur, a na miłość Boską jéżeli ci jeszcze raz trafi się cóś podobnego, przyślij po mnie extrapocztę, a przekonasz się że nie pożałujesz tego.

— Dobrze J W. panie, rzekł Jasio kłaniając się, i wierzaj mi J. W. pan, że gdyby to było w mojéj mocy, dziś jeszczebym sprowadził podobną burzę, ażeby zadosyć uczynić woli J. W. pana, a teraz dozwol J. W. pan oddalić się słudze twemu.

— Żegnam cię, mój Jasiu, rzekł Wsiejowski do odchodzącego, — ale... ale... jakże? jutro termin, więc potrzeba posłać po komornika?

— Potrzeba J. W. panie i to koniecznie, jeżeli J. W. pan chcesz osiągnąć cel swoich życzeń. — To mówiąc Jasio ukłonił się jak tylko mógł najniżéj i oddalił się.

Wsiejowski patrząc za Jasiem, rzekł z oburzeniem; Nikczemny lichwiarzu, dopóty znoszę twoją obecność, dopóki mój interes tego wymaga, po ukończeniu onego wszystkie drzwi moje będą dla ciebie zamknięte.

Jasio na wschodach przeliczył paczkę z papierkami, wiele ich było nie wiem, ale za to tylko mogę zaręczyć że gdy skończył rachubę uśmiechnął się i rzekł do siebie.

— Stary głupcze, szydzisz ze mnie..... pozwalam ci, bo za to musisz dobrze płacić..... Emilja nie będzię twoją, tym się chociaż pomszczę za twoje wzgardliwe ze mną obejście,..... Dobrze Jasiu... bardzo dobrze... jesteś dowcipnym i przebiegłym chłopakiem,... teraz pomyślmy nad Henrykiem... potrzebuje on trzech tysięcy, ktore Ludwik za powrotem niewątpliwie zapłaci, znam go dobrze, jest to zacny i rzetelny młodzieniec, Liberka wiem że nie ma

tyle pieniędzy, ale to jest chciwy żyd, mogę go wciągnąć do mojego interesu, gdybym ja sam pożyczył Henrykowi, musiałbym poprzestać na bardzo małym, jak to mowią braterskim procencie, to jest dwa od sta na miesiąc, dam więc te summę Liberce, on ją pożyczy ze swojéj strony, a tak możemy za trzy tysiące wziąść cztery, jemu dam cztwartą część procentu wszakże będzie miał dość, — Dobrze mój Jasiu,... wywybornie... przebiegle prowadzisz swoje interesa, wkrótce może także kupisz sobie parą wiosek i nie będziesz się kłaniał podobnym ludziom jak Wsiejowski, który odziedziczywszy ogromne summy, ani wie ile to kosztuje pracy poczciwie zebrać majątek. — Teraz wstąpię do domu i poślę Henrykowi starą Urszulę, potém biegnę do Liberki. — Brawo poczciwy Jasiu, brawo, rozumny jesteś chłopak.

VI.

PAN LIBERKA.

Dopiero nazajutrz Jasio przyprowadził Liberkę do Henryka, który jeszcze nie wychodził z domu z powodu swéj słabości i zupełnego braku ubrania. Pan Liberka był jednym z młodych niemieckich żydów, ubrany jak najmodniéj, żółte rękawiczki okrywały jego drapieżne palce,

rude faworyty wiły się w około piekielnie uśmiechającéj się twarzy, a na jego myślącéj głowie, czerwieniły się kręte włosy w misternie pukle uczesane. Gdy wszedł do mieszkania Henryka, ukłoniwszy się elegancko rzekł.

— Pan Jan oświadczył mi, że mam honor być wezwanym do pana.

— Tak jest, odpowiedział Henryk przewracając się na łóżku, masz ten honor.

— Czémże moja osoba może być panu użyteczną.

— Twoja osoba niczém, ale twoje pieniędze; zapewne ci Jasio musiał już o tém wspomnieć.

— Napomknąłem mu po części, rzekł Jasio, bawiąc się łańcuszkiem od swojego zegarka.

— Pan Henryk jak widzę jest chory, rzekł Liberka, zwracając mowę do Henryka, od czasu jak miałem honor odebrać od pana, należące mi trzysta złotych, nie miałem honoru widzieć pana.

— A więc kiedy znowu masz ten honor widzieć mnie, i kiedy chcę abyś miał honor pożyczyć mi pieniędzy, miéjże honor przystąpić do rzeczy, bo w przeciwnym razie będą miał honor wyrzucić cię za drzwi.

— Ależ mój Agapitku, rzekł Jasio, bądźże cokolwiek cierpliwym, i nie miéj za złe że pan Liberka troskliwym jest o twoje zdrowie.

— A ty mój Jasiu, nie zabieraj czasu na próżnéj gadaninie, i przystąp do interessu, który żadnéj nie cierpi zwłoki, a więc panie Liberka, miéj ten honor dowiedziéć się, że mi potrzeba, trzech tysięcy złotych.

— Czy mogę miéć honor zyskać pana pozwolenie abym usiadł.

— A siadaj, któż ci broni, ale pamiętaj siadaj ostrożnie, ten stołek ma tylko trzy nogi, to możesz miéć honor zęby sobie powybijać.

Liberka usiadł, Henryk rzekł daléj.

— Jakiem ci już powiedział potrzebuję trzech tysięcy, na bardzo krótki termin bo tylko na miesiąc.

— Słowo honoru panu daję że nie mam w tych czasach tyle pieniędzy, ale jeżeli pan raczysz łaskawie zatrzymać się ze dwa tygodnie,.. będę miał honor....

— To idź że sobie do wszystkich djabłów, razem z twoim honorem, za dwa tygodnie niebędę potrzebował ani ciebie, ani twoich pieniędzy.

— Czy tak pilno panu potrzeba? zapytał Liberka.

— To do ciebie nie należy, masz dać to dowaj, a nie, to bądź zdrów, to mówiąc Henryk obrócił się twarzą do ściany.

— Mój Agapitku, bądź że cierpliwym, przecie ci pan Liberku nie odmawia, tylko mowi że...

— Że da za dwa tygodnie, przerwał Henryk, a przecie ty wiesz że ich na jutro potrzebuję.

— Jeżeli pan Henryk łaskawie raczy mnie posłuchać to będę miał honor przedstawić mu, że chociaż sam nie mam w téj chwili tyle pieniędzy, jednakże mogę mu usłużyć, będę się starał pożyczyć od moich przyjaciół, aby tylko mieć ten honor wygodzić w potrzebie panu Henrykowi, z którym już kilka razy miałem do czynienia, a który zawsze najrzetelniéj uiszczał się z zaciągniętych długów, chciałbym tylko obszernej roztrząsnąć ten interes.

— Tu nie ma nic do roztrząsania, ty dasz, ja wezmę, oddam na termin, i skończyło się.

— Ależ wypada tu wspomnieć o procencie,

o pewności, zaręczeniu, rzekł Liberka z uśmiechem trudnym do opisania.

— Co do procentu, pomówiemy, co zaś do pewności wiesz dobrze że zawsze ci się uiszczałem, i innego zaręczenia ci dać nie mogę jak mój honor i uczciwość.

Prawda że pan Henryk zawsze był rzetelnym, temu zaprzeczyć nie mogę, ale to były małe sumy, trzy tysiące zaś nie są bagatelą w teraźniejszych czasach.

— Czegóż więc żądasz?

— Zaręczenia dwóch obywateli, mających czyste hipoteki.

— Jakto, żydzie, to ty więcéj dajesz wiary dwom kamienicom, niżeli mojéj uczciwości!... wynoś się natychmiast do wszystkich djabłów i połam nogi na drodze.

— Ale niech mam honor...

— Wychodź! przerwał Henryk podnosząc się na łóżku, wychodź, bo dla skrocenia ci drogi oknem cię wyrzucę, a pamiętaj że jesteśmy na czwartém piętrze.

— Mój Henryczku, mój Włoseczku, nie bądź że tak gwałtownym, to się wszystko da uło-

żyć, ale powoli, powoli... mój Agapitku, — Potem Jasio zwracając się do Liberki zapytał.

— Czy moje zaręczenie będzie dostatecznem?

— Dla czego nie, pan Jan masz piękny i czysty domek, a któż drugi zaręczy zapytał pan Liberka.

— Jeszcze drugiego, zawołał Henryk z wściekłością odwracając się znowu do ściany. Mój Jasiu, kochany Jasiu, wyrzuć tego żyda za drzwi jeżeli nie chcesz żebym się wściekł ze złości...

Jaś kryjomo skinął, Liberka to zrozumiał i rzekł jak tylko mógł najuprzejmiéj.

— Zgoda, przystaję na jeden tylko podpis, ażebym miał honor okazać panu Henrykowi, ile szanuję i cenię jego słowo. — Teraz pomówmy o procencie, — gdybym nie był przymuszonym pożyczyć pieniędzy od moich przyjaciół, aby uzupełnić trzy tysiące złotych ktorych pan Henryk ode mnie żąda, wziąłbym tylko procent skromny jak zwyczajnie, to jest dwa od sta na miesiąc, ale że i mnie darmo moi przyjaciele nie dadzą pieniędzy, mam honor zatém

przedstawić panu Henrykowi, że na mniéjszy procent jak trzy od sta rzeczonéj summy dać mu nie mogę, czyli jaśniéj mówiąc, że pan Henryk raczy mi jaknajłaskawiéj wyśtawić wexel na 4,080 złotych.

— A bodajżeś się zadławił synu Lucypera, jakto, za jeden miesiąc chcesz 1080 złotych procentu!

— Panie Liberka, zawołał oburzony Jasio, a gdzież sumienie, za jeden miesiąc tyle pieniędzy!

— Ten oszust tyle wie o sumieniu, ile twój mały syn o chińskich hieroglifach, oto najlepiéj mój Jasiu otworz drzwi i zepchnij go na dół, niechaj przynajmniéj łbem porachuje ile schodów na czwarte piętro.

— Panie Liberka, zastanów się, rzekł Jasio, taki procent jest prawem zakazany, to jest lichwa, zdzierstwo!... odstąp przecie cokolwiek,

— Nie mogę,... i mam honor panom przedstawić, że sambym stracił, odstępując cokolwiek od wymienionego procentu.

— To niech cię piorun trzaśnie, wrzasnął Henryk zrywając się z łóżka i biegnąc ku Liberce, żyd zbladł, a Jasio wstrzymując Henryryka rzekł z cicha, pamiętaj Henryczku, że jutro jest termin wypłaty, a Wsiejowski obrażony i pałający zemstą, jeżeli więc odprawisz Liberkę, nie widzę sposobu i nie znam nikogo od kogoby można potrzebnych pieniędzy, dostać potargujmy się jeszcze cokolwiek, inaczéj Emilja z matką pojutrze na bruku spać będzie.

— Słusznie mówisz, odrzekł Henryk, skończ więc z tym rudym djabłem, bo mnie już brakło cierpliwości, a potém wiem że Ludwik dałby i dziesięć tysięcy aby tylko zapobiedz tak smutnemu wypadkowi. — Henryk rzucił się znowu na łóżko, Jasio rzekł do Liberki...

— No, panie Liberka, skończmy z sobą bez gniewu, ustąp cokolwiek, zaraz napiszemy wexel.

— Czegożbym nie uczynił dla pana Jana i szanownego pana Henryka, odstępuję więc..... dwadzieścia złotych.

— Henryk tak zgrzytnął zębami, że Liberka aż się zatrząsł cały ze strachu.

— Nie, mój panie Liberka, to za mało, ale jeżeli chcesz skończyć z nami, przyjmij wexel na cztery tysiące okrągłe.

— Jakto, mam stracić osiemdziesiąt złotych!

— Przecie nie zubożejesz, odpowiedział Jasio.

Liberka długo się namyślał, liczył cóś z cipo niemiecku, nakoniec rzekł.

— Niech i tak będzie, czynią to jedynie dla tego że od tak dawna mam honor znać szanownych panów.

Jasio posłał natychmiast starą Urszulę po papier stęplowy, a pan Liberka napisał rewers jakiego djabeł nawet nie wymaga kiedy duszę kupuję. — Henryk bez namysłu podpisał, Jasio niby się wachał, wziął pióro a zakończywszy podpis ogromnym cugiem, zawołał: aha panie Antoni, wbijemy ci jutro klin w głowę.

— Jutro? odrzekł Henryk, a to dla czego? dziś jeszcze! i to jak najspieszniéj, i pomimo tego że jeszcze zupełnie nie jestem zdrów, gdybym tylko miał się w co ubrać, natychmiast pobiegł bym zapchać gardło twojemu Antoszkowi.

— Dobrze mówisz mój Agapitku, ja teraz idę z panem Liberką, odbiorę od niego pieniądze, i za godzinę będę u ciebie z powrotem, czy sam chcesz je wręczyć panu Wsiejowskiemu?

— Gdyby tylko krawiec przyniosł mi suknie, w przeciwnym razie ty się musisz tym zająć mój Jasiu.

— Wstąpię po drodze do twojego krawca, bo wolałbym żebyś ty poszedł do Wsiejowskiego, mnie nie wypada,...

— A więc spiesz się.

Jasio rewers schował do kieszeni i wyszedł z panem Liberką, gdy byli już na ulicy, Jasio rzekł zacierając ręcę z radością.

— A co mój przyjacielu, czy nie wyborny pomysł?... jakbyś już miał mój Liberko kilkadziesiąt złotych w kieszeni, ale powiedz mi, dla czego tak długo męczyłeś biednego Henryka.

— A jakżebyśmy inaczéj wydobyli z niego takí procent, znam ja dobrze moje powołanie, gdy kto nagle potrzebuje pieniędzy, potrzeba go najprzód zastraszyć odwłoką, potem udręczyć wymaganiem pewności, zaręczeń, podpisów, a

gdy mu na koniec te wszystkie trudności usuniemy, zaręczam ci że w ten czas największy procent niczém mu zdawać się będzie.

— Dobrze i o tém wiedzieć; biedny Henryk, gdyby to on sam potrzebował nigdybym mu nie dał pieniędzy, a to dla tego jedynie że jestem jego przyjacielem i nie chciałbym go wystawiać na zgubne płacenie wielkich procentów, ale że to Ludwik ma zapłacić, nic mi zatém sumienie wyrzucać nie będzie, jest majętnym, niech płaci. Teraz biegnę; do domu po pieniądze bądź zdrów kochany Liberko! wyborny, dowcipny z ciebie chłopak, zdaje się żebyś samego djabła oszukał — do zobaczenia—do zobaczenia.

VII.

MECA.

Czy jest pan Wsiejowski w domu? zapytał Henryk lokaja siedzącego w przedpokoju.

— Spi odpowiedział lokaj.

— Spi?... w południe?.. chyba nie spał w nocy.

— To do pana nie należy, rzekł lokaj.

— Jakto nie należy, mam do niego interes, idź i obudź go.

— Zapewne! odpowiedział lokaj, i rozciągnął się w krześle.

— Słuchaj głupcze,idź natychmiast obudź twojego pana, albo ja sam to uczynię.

— Sprobuj pan.

Henryk spojrzał z pogardą na niego i postąpił ku drzwiom, lokaj zerwał się z krzesła i zastąpił mu drogę.

— Za pozwoleniem, musisz się pan zatrzymać aż pan Wsiejowski obudzi się.

— Powtarzam ci bałwanie, zawołał Henryk, że mam pilny interes, przynoszę bowiem pieniądze dla twojego pana.

— Jaśnie wielmożny pan nie jest tak potrzebnym, aby na pana pieniądze oczekiwał, możesz się więc zatrzymać.

— Nie mogę sięzatrzymać, krzyknął Henryk i porwawszy lokaja za piersi, rzucił go na krzesło i wszedł do pokoju.

Pan Wsiejowski ujrzawszy nagle wchodzącego Henryka podniósł się na łóżku i zapytał nieco strwożony, co to jest... cóżto za hałas?

— To nic, odpowiedział Henryk, to ja pańskiego służącego prosiłem siedzieć.

W téj chwili wbiegł lokaj, a pieniąc się ze złości rzekł.

— J W Panie! ja temu niewinien że ten jegomość J. W. pana obudził, wszedł tu gwałtem, nadwerężvwszy mi kości o poręcz od krzesła, tyle lat służę wiernie J W panu nigdy mi się nie zdarzyło aby...

— Idź precz rzekł pan Wsiejowski.

— Ależ JWpanie.

— Idż precz, powtórzył Henryk, gdy panowie chcą z sobą rozmawiać, twoje miejsce jest za drzwiami.

— Czy JWpan rozkaże...

— Idźże do djabła zawołał Henryk, bo jak cię drugi raz posadzę na krześle, to się więcéj nie podniesiesz.

Lokaj wyszedł, a pan Wsiejowski rzekł do Henryka z szyderstwem.

— Czemże mogę służyć panu Henrykowi i w czém mogę mu być użytecznym.

— Możesz mi pan być bardzo użytecznym, odbierając z rąk moich trzy tysiące złotych, które przynoszę od matki panny Emilji.

— Czy tak? rzekł Wsiejowski przygryzając usta ze złości.

— Tak, odrzekł Henryk wyjmując pugilares, i licząc pieniędze na stole, teraz raczysz pan zwrócić mi rewers, oraz zechcesz poprzestać dalszych odwiedzin w domu Emilji, albowiem gdybyś pan raz jeszcze przestąpił próg jéj pomieszkania, byłbym przymuszonym podobnie poprosić go siedzieć jak jego wiernego służącego.

— Mój panie, rzekł Wsiejowski, blednąc że złości, nie zapominaj że jesteś w moim domu.

— A jakże mam o tem zapomnieć. Czyliż wszystko na co tylko spojrzę nie przypomina mi że jestem w domu człowieka którego ślepy los obsypał dostatkami, a który nigdy dobrze swojego złota nie użył, ale zawsze na nikczemne intrygi, niezgadzające się z jego wiekiem i obowiązkami, który daje zły przykład swoim dzieciom, który zastawia jeszcze swoje zbótwiałe sidła, aby zgubić młode i niewinne dziewczęta... który.... który... który na koniec... do wszystkich djabłów.....

— Hola... hola... mój panie Włosek, przerwał Wsiejowski z kądże te morały! czy cię ich szewcy na gnojowéj górze nauczyli, poprzestań

radzę ci, jeżeli nie chcesz, abym zawołał na moich ludzi.

— Zawołaj, a zobaczysz że ich wszystkich siedzieć poproszę; ale słusznie mówisz, młody uwodzicielu, skończmy z sobą, oto są pieniądze, proszę o rewers. Pan Antoni pobiégł do biórka i rzucił rewers na stół, zebrał pieniędze i uśmiechając się złośliwie rzekł.

— Jakiż nowy wielbiciel płaci te summę za pannę Emilję?

— Panna Emilja odpowiedział Henryk, nie ma żadnych nowych wielbicieli, a gdy chcesz koniecznie wiedzieć kto tę summę płaci, dowiedz się że ci ją przysyła pan Durandon.

— Pan Durandon?.. zapytał Wsiejowski nieco zdziwiony.

— Tak jest, Pan Ludwik Durandon, no i co tu tak dziwnego?

— Ten sam pan Ludwik który...

— Który panu chciał kości połamać na Tamce.

Wsiejowski pomyślał przez chwilę, potém wlepiwszy oczy w Henryka rzekł nie co uprzejmiej.

— Mój panie Henryku.

— I cóż tam mój panie Antoni.

— Usiądź proszę...

— Bardzo dobrze.

— Czy cię nie obrażę jeżeli ośmielę się zapytać skąd i jak dawno znasz Ludwika.

— Nigdy się nie obrażam, gdy kto do mnie przemawia jak powinien przemawiać do Henryka Agapita Włoska, pierwszego kawalerzysty. Jeżeli przyrzeczesz że poprzestaniesz wszelkich zabiegów o miłość Emilji, że ją już nie będziesz udręczał twojém natręctwem, mogę wszystko powiedzieć co cię może obchodzić.... ale... prawda... najprzód powiedz mi co cię to obchodzi.

— Przed dwudziestu dwoma laty będąc w Paryżu, znałem człowieka tego nazwiska, odpowiedział Wsiejowski, był moim przyjacielem, miał córkę piękną, jak anioł.

— Nazywała się Julja? zapytał Henryk.

— Tak jest, jéj ojciec jest jubilerem.

— Powiedz raczéj był jubilerem, bo on już dawno nie żyje.

— Nie żyje? zawołał Wsiejowski.

— Nie żyje... jakiś podróżujący Polak uwiódł jego jedyną córkę, a to go wpędziło do grobu.

— Czy być może zapytał zdziwiony Wsiejowski? czy nie wiesz jak się nazywał?

— Djabli go tam wiedzą, domyślam się tylko że to musiał być jeden z naszych głupców Warszawskich, którzy po to jeżdżą do Paryża żeby jeszcze głupszemi wrócili.

— A więc Ludwik jest...

— Synem Julji.

— I nie zna swojego ojca?

— A jakże go ma znać, — Ojciec jego powrócił do kraju nim Ludwik przyszedł na świat, wprawdzie odjeżdżając przysięgał że powróci, i że się ożeni z Julją, ale nie. powrócił, niech go piorun trzaśnie; nie mówmy o tém, bo to mnie w zły humor wprowadzi.

— Proszę, historja zabawna, rzekł Wsiejowski z przymuszonym uśmiechem, dziękuję ci bardzo panie Henryku.

— Nie ma za co, odrzekł Henryk, spodziéwam się że pan względem Emilji słowa dotrzymasz.

— Zaręczam honorem, odpowiedział Wsiejowski.

— Dość mi na tém. — Teraz żegnam pana.

— Polecam się twojéj pamięci, panie Henryku.

— I ja to samo, jeżeli to panu przykrości nie zrobi; Henryk wyszedłszy od Wsiejowskiego pospieszył do Emilji, zaspokoił jéj obawę oddając rewers, doniosł jéj także, że Ludwik wkrótce powróci, gdy go zaś matka zapytała jakim sposobem dług został uiszczonym, odpowiedział bez namysłu że pisał w tym celu do Ludwika, a ten natychmiast przysłał potrzebną summę.— Emilja i jéj matka podziękowały mu ze łzami wdzięczności, że doniosł o ich smutném położeniu Ludwikowi, dodając, że same nigdyby tego nie śmiały uczynić. Henryk cały dzień u nich przepędził. Nad wieczorem pożegnawszy Emilją i jéj matkę, błąkał się bez celu po ulicach; dochodząc do kościoła Śgo krzyża, spotkał Jasia postępującego w zamyśleniu samym środkiem ulicy.

— Kochany Jasiu; zdaleka zawołał Henryk, nie wlecz że się środkiem ulicy, obejrzyj się, pędzi wóz piwowarski, to cię rozpłaszczy jak żabę!

— A, to ty, kochany Agapitku, jakże mi pięknie wyglądasz, widzisz żem dopilnował krawca, troche jesteś blady po chorobie... lecz to nic nieszkodzi — jaki piękny surducik — ale ostrogi za wielkie.

— Dobre — bardzo dobre, niech ludzie zdaleka widzą żem służył dziesięć lat w kawalerji.

— I cóż? zaniosłeś pieniądze?

— Nawet rowers już oddałem.

— To wybornie, doskonały jesteś chłopak, a Wsiejowski, musiał zzielenieć ze złości?

— Nie, zbladł tylko, gdziesz teraz idziesz mój Jasiu.

— Idę na hecę.

— Pójdę z tobą.

— Najchętniéj, będzie mi weseléj.

Henryk postępował z Jasiem, który przez jakiś czas szedł zamyślony, a mrucząc cóś pod nosem nielitościwie wykrzywiał dolną wargę, nagle jakby ze snu ocknięty, zaczął się śmiać, podskakiwać, i z radością zacierać ręce.

— Jasiu czy cię djabeł opętał, skaczesz jak małpa na łańcuszku... ludzie się oglądają za nami...

Jasio nie dosłyszał Henryka, śmiał się, zacierał ręce, podskakiwał, i dopiero obudził go potężny kułak który mu Henryk wsunął pod prawe żebra.

— Jasiu, czyś ogłuchł?.. nie podskakujże, bo ci się uszy trzęsą jak u osła kiedy kłusem idzie.

— Nie ogłuchłem, mój Włosku, odrzekł Jasio krzywiąc się, ale choćbym nawet i umarł to twój kułak przywrócił by mnie do życia.

— Ale bo czegóż mruczysz, czego tak ruszasz szczękami, możesz sobie nos złamać o brodę...

— Ah, mój Henryku! nie wystawisz sobie jak jestem szczęśliwy, żeśmy Wsiejowskiemu plany zniweczyli, tak jestem szczęśliwy... tak ucieszony... tak zadowolony... tak zachwycony... że... że... ci kupię szklankę ponczu na hecy. — to mówiąc Jasio rzucił się na szyję Henrykowi.

— Jasiu, kochany Jasiu, drogi Jasiu, bodaj cię jasny piorun zastrzał, co ty robisz, czy nie widzisz że tysiące ludzi na nas patrzą; — a co najgorzéj żeś mi splamił półkoszulek tabaką.

— To nic mój Agapitku, każę mojéj Urszuli

aby ci go wyprała, ale teraz pozwól niech cię jeszcze raz uściskakm.

— Jasiu daj pokój bo ci moją szpicrutą ręce poprzetrącam.

Ta przyjacielska obietnica uspokoiła Jasia cokolwiek, tem bardziéj że znał Henryka jako człowieka dotrzymującego słowa. — Poprzestał więc na dość częstych wykrzyknikach, w pośród których stanęli nakoniec przed szczwalnią, czyli inaczéj mówiąc przed hecą.

Jeszcze było dość wcześnie, ledwie za półgodziny mieli zacząć, Jasio zatém poprosił Henryka do bufetu aby mu się wywiązać z obiecanéj szklanki ponczu, i chociaż Henryk kilka razy sobie z cicha powtorzył, trzeba się poprawić koniecznie i to jak najspieszniéj, jednakże na jednéj szklance nie przestał i nim się widowisko rozpoczęło, nie można go było nazwać zupełnie trzeźwym. — Ozwały się trąby i wszyscy spieszyli na swoje miejsca, Henryk i Jasio zajęli swoje miejsca na dole, o podal nich siedziało kilka kobiet w towarzystwie jakiegoś rubasznego mężczyzny, Henryk chciał się przysunąć do tego nieznajomego towarzystwa, ale go przegradzał mały garbaty człowiek,

który się wspinał na palce aby mógł chociaż uszy końskie zobaczyć.

— Proszę pana rzekł Henryk do garbuska, czy nie zechciałbyś pomieniać się ze mną na miejsca.

— Nie, mój panie, odrzekł garbusek opryskliwie, widzisz pan przecie że jestem w towarzystwie tych dam...

— Przyznam się, że te damy szczególniejsze wybrały sobie towarzystwo, jeden w żadne drzwi się nie zmieści, a drugi przejdzie pod ławką nie schyliwszy głowy.

— Agapitku, rzekł z cicha Jasio, jak widzę, w głowie ci szumi, bo zaczynasz zaczepiać ludzi spokojnych.

— Głupiś, mój Jasiu, rzekł Henryk także z cicha, żeby nie uszanowanie dla dam powiedziałbym ci to głośno. — Jakże, szanowny Goljacie, odezwał się znowu Henryk do garbuska, czy nie raczysz mi ustąpić miejsca?

— Proszę mi nie przeszkadzać, rzekł mały człowiek, bo nie słyszę muzyki.

— A! prawda jest czego słuchać! zawołał ze

śmiechem Henryk, same trąby, prawdziwie muzyka godna twoich uszów. W téj chwili dama siedząca przy samym garbusku, długo wpatrując się w Henryka zapytała z nieśmiałością.

— Wybacz pan że śmiem go zapytać: ale czy mi się zdaje czy mam zaszczyt mówić z panem Henrykiem...

— Agapitem Włoskiem, dokończył Henryk.

— Ah! panie, jakżem szczęśliwa, że go przecie oglądam!...

— Widzisz mój panie że i ja jestem znajomym tym damom, a zatém pozwol mi usiąść przy nich.

— Pan jak widzę szukasz okazji? zawołał zgrzytając zębami garbusek.

— Ale co się panu dzieje, rzekł Henryk patrząc z góry na niego, ja tylko proszę pana, żebyś mi się usunął bo się obawiam abym cię nie zdeptał. — To mówiąc Henryk wziął garbuska pod pachy i posadził na swoiém miejscu a sam usiadł przy wspomnionych kobietach.

— Mój mężu odezwała się przy nim siedzą-

ca dama do rubasznego jegomości, przedstawiam ci tego pana który owéj w pamiętnéj burzy, ocalił życie naszéj Julji.

— Czy być może? zawołał basem jéj małżonek i powstał aby uściskać Henryka, panto byłeś tak wspaniałym, tak odważnym, tak ludzkim, tak uczciwym...

— I tam dalej, przerwał Henryk, tak jest, ja, było to moją powinnością, a wasza wdzięczność zawstydza mnie.

— Siadajże przy nas rzekł, ojciec, siadaj kochany panie... jakże tam...

— Henryk Agapit Włosek.

— Kochany panie Henryku.

— Szukaliśmy cię po całém starém mieście, ale jak na nieszczęście żona moja zapomniała numeru domu i twojego nazwiska, a nie uwierzysz jak nam przykro było, że nie mogliśmy wynaleść wybawcy naszego jedynego dziecka.— Julciu, patrz, to jest ten pan któremu winnaś życie. — Julja spojrzała na Henryka a żywe kolory pokryły jéj lica. — Julja była to piękna brunetka, mająca najwięcéj lat siedemnaście, wielkie czarne oczy wlepiła w twarz Henryka,

a potém spuszczając je z prawdziwą skromnością, rzekła pół głosem.

— Panie! jakże ci zdołam odwdzięczyć.

— Jeżeli mi pani nigdy już o tém nie wspomnisz; odpowiedział Henryk całując rękę Julji. — Jasio to zobaczywszy, uśmiechnął się skrycie— Garbus zgrzytnął zębami.

Całe prawie widowisko przeszło tylko na rozmowie, do której niekiedy i Jasio się mięszał, nie uważano ani na konie ani najezdców, cała ta nieliczna rodzina była jedynie zajęta wybawcą Julji, która była pociechą kochających ją rodziców. — Jeszcze się widowisko nie skończyło, gdy ojciec Julji wstając rzekł:

— Pójdźmy do domu moje dzieci, panie Henryku, spodziewam się że zechcesz nam towarzyszyć, a twójże przyjaciel, czy będzie równie dobrym i raczy przyjąć nasze zaproszenie?

— Z największą chęcią, odpowiedział Jasio, nisko się kłaniając.

— Henryk podał ręke Julji, Jasio matce, a ojciec postępował z garbuskiem, który także towarzyszył im aż do ich mieszkania, po chwili stanęli przed małą kamieniczką na nowym Świecie.

— Oto jest moje mieszkanie, racz wejść panie Henryku.

Weszli na pierwsze piętro, kilka skromnie lecz czysto umeblowanych pokojów, składało pomieszkanie téj godnéj rodziny.—Zastawiono wkrótce wieczerzę, a ojciec, matka, i córka, wyprzedzali się aby mogli okazać Henrykowi, jak miłym i szanownym jest dla nich gościem.

— Wiesz co, panie Henryku, zawołał ojciec, któremu kilka szklanek dobrego wina dodały wymowy; jestem szczerym i otwartym, a więc bez żadnéj ogródki powiem ci co myślę. — Podobałeś mi się, kocham cię i jestem twoim przyjacielem, jakbym cię znał lat dwadzieścia.— Posłuchaj więc jaki plan ułożyłem przez drogę. — Mam kamieniczkę, i sklep korzenny, mam także cokolwiek gotowizny, przy tém wszystkiém córkę ktora o ile mi się zdaje nie jest bardzo brzydką, — Julja się zarumieniła. — Nie jestem już młody, chciałbym jeszcze przed śmiercią widzieć szczęście mojéj Jullji, chciałbym ją wydać za mąż,. Kręciło się już koło niéj a bardziéj koło jéj majątku kilku pędziwiatrów, ale na szczęście ani mnie ani mojéj

córce żaden się nie podobał. — Ty panie Piotrze, rzekł zwracając mowę do garbuska, jesteś bardzo godnym człowiekiem, twój majątek jest odpowiedni, ale jak mi się zdaje, jeszcze twoje zalety i wdzięki nie zajęły Julci, sama mi to nie dawno oświadczyła, przymuszać jéj nie chcę, postanowiłem więc wydać ją za jéj wybawcę, jeżeli jéj nie odrzuci, i jeżeli wzajemnie, ona go będzie chciała przyjąć. — Trzeba go było tylko wynaleść, przypadek zrządził że go oglądamy i możemy mu wynurzyć naszą wdzięczność... wypada więc... no i cóż ty na to Julciu?... cóż na to panie Henryku.

Panie, rzekł Henryk, co do mnie, namyślać się było by to głupstwem z mojéj strony, panna Julja jest piękną, nie wątpię że uszczęśliwi męża ale męża któryby mógł poszczycić się jéj wyborem; gdybym ja był tym szczęśliwym, umiał bym ocenić to szczęście, umiał bym ją szanować, bo trzeba państwu wiedzieć, że u mnie uszanowanie dla dam przedewszystkiém... ale nie wiedząc...

— No, Julciu, zapytał ojciec, przecie się odezwij, milczysz jak śledź w baryłce, wiem że jesteś równie szczerą i otwartą jak twój ojciec,

więc powiedz, czy nie masz nic do zarzucenia panu Henrykowi? Julja długo milczała, na koniec rzekła zarumieniwszy się aż pod oczy.

—Cóżbym mogła zarzucić memu wybawcy?...nakoniec... wiesz mój ojcze że zawsze ci jestem posłuszną.

— Dość mi na tém zawołał ojciec, rozumiem cię, to się ma znaczyć, że pan Henryk podobał się, wszakże prawda—Julja milczała, a rozczulony Henryk tak ją w téj chwili cmoknął w rękę że się odgłos tego kawalerzkiego pocałowania rozległ po wszystkich pokojach.

— A więc skończone, rzekł ojciec zacierając ręce z radości, za miesiąc wasze wesele, niech was Bóg błogosławi! będziesz miał dobrą, cnotliwą, i gospodarną żonę, moja żona starannie ją wychowała, a więc zaręczam ci, że się na niczém nie zawiedziesz.

— Za pozwoleniem mój Ex-teściu! odezwał się dotąd milczący garbusek, podług mnie, wydając za mąż swoją jedyną córkę, nie dość jest poznać tylko z nazwiska swojego przyszłego zięcia....

— Słuchaj, mój panie ex-narzeczony! odpowiedział Henryk. Nazywam się Henryk Agapit

Włosek, jestem synem pierwszego niegdyś restauratora, i służyłem dziesięc lat w kawalerji, ta wiadomość powinna dla ciebie być dostateczną; co zaś do mojego teścia i narzeczonéj, dam im bliższe o sobie wiadomości, których panu nie mam żadnego obowiązku udzielać, i przysięgam ci na moje ostrogi, że gdyby nie uszanowanie dla dam, za tę przymówkę dawno bym cię zamknął w tabakierce skądbym cię nie wypuścił aż na moje wesele.

Rozmowy w różnych przedmiotach; przeciągnęły się do późnéj nocy. Nakoniec Henryk pożegnał swoją przyszłą rodzinę i spieszył z Jasiem do swego pomieszkania, gdy rozżarty garbusek zastąpił im drogę, a chwytając Henryka rękę, rzekł drżącym głosem ze złości.

— Mości panie! pan musisz mi dać zadość uczynienia.

— Tak jest, będziemy się bić na pałasze.

— Czyś pan zapomniał, żem dziesięć lat służył w kawalerji.

— Ja? panu? rzekł Henryk patrząc na niego z politowaniem.

— Mniejsza o to, wyzywam pana i dość na tém.

— Dobrze więc, przystaję, pod tym tylko warunkiem że albo pan się wyciągniesz tak jak ja, albo ja się skurczę jak pan, wtenczas dopiéro będzie równa walka, wtenczas panu będę służył, bo teraz jak to pan sam widzisz, jedno spuszczenie mojéj ręki mogłoby go rozpłatać na dwoje. Bądź pan zdrów, niesłuszną urazę pan do mnie rościsz, cóż ja temu winien że mnie panna wybrała. Garbusek jak się zdawało uczuł całą moc téj prawdy, bo po krótkiéj chwili namysłu pożegnał naszych przyjaciół, którzy wrócili do domu zastanawiając się nad szczególnym wypadkiem tego wieczora.

VIII.

NADZWYCZAJNA ZMIANA.

W sześć dni po tym wypadku, Henryk powróciwszy od swéj narzeczonéj, siedział zamyślony w swojéj stancji na czwartém piętrze, już było po jedenastéj w nocy, gdy ktoś gwałtownie zapukał do jego drzwi, Henryk spiesznie pobiegł

otworyć, lecz jakże się zdziwił i ucieszył gdy ujrzał Ludwika.

— Ah! to ty, mój Ludwiku, zawołał Henryk rzucając się na szyję swemu przyjacielowi, rozumiałem że już nigdy nie powrócisz!

—Mój luby Henryku, nie uwierzysz jak się śpieszyłem do ciebie, i do mojéj Emilij!

— Omyliłeś się Ludwiku, chciałeś zapewne powiedzićć, jakże się śpieszyłem do mojéj Emilji, i do ciebie... bo wątpię żebyś mnie więcéj kochał jak Emilję... byłoby to nawet głupstwem,—o mój Ludwiku, mam ci wiele do powiedzenia.

— Słucham cię mój przyjacielu, ale naprzód zaspokój mnie względem Emilji, czy zdrowa?

— Zupełnie, ale pan Wsiejowski chciał ją choroby nabawić.

— Jakto? kochany Henryku? opowiedz mi wszystko, znasz moję miłość ku niéj, i łatwo się domyślisz, ile każdy szczegół obchodzić mnie może. Henryk opowiedział wszystkie wypadki zaszłe w niebytności jego, nic pominął najdrobniéjszego zdarzenia, opisał mu nawet zajście w ogródku, burzę na Wiśle, i poznania na h ecy wyratowanéj przez siebie dziewczyny.

— Jak to, Henryku, ten nikczemnik chciał ich przyprowadzić do nędzy!...

— Tak mój przyjacielu, ale mu się nie udało, sam zaniosłem należące mu pieniądze, a tém samém uwolniłem Emilję na zawsze od jego odwiedzin, oprócz tego dał mi słowo honoru, że zaprzestanie wszelkich względem niéj zabiegów.

— Ale skądżeś wziął tyle pieniędzy zapytał Ludwik.

— Pożyczyłem na braterski procent, to jest za trzy tysiące musisz zapłacić cztery, ale powiedzże sam, cóż miałem czynić w podobnym położeniu.

— Tak jest, mój Henryku, inaczéj nie można było postąpić, nigdy ci za to nie przestanę być wdzięcznym.

— Dajże pokój, zaczynasz mnie nudzić wdzięcznością, jak moja narzeczona.

— Ale, co do narzeczonéj, czy nie będzie ona czasem podobna do twojéj kawiarki.

— O przepraszam, wcale do niéj nie jest podobną, naprzód kawiarka miała wielki czerwony nos, i bure oczy, a ona... jakże jest piękną.

— Tam do djabła jak widzę Henryku na prawdę się zakochałeś. — Życzę ci abyś doznawał takiego szczęścia, jakiego ja mam nadzieję doznawać z moją Emilją, a teraz pożegnam cię, jestem znużony, — jutro rano pobiegnę do Emilji, a w południe będę w domu, chciałbym się z tobą zobaczyć, wszakże przyjdziesz?

— Przyjdę.

— Dobranoc.

— Do zobaczenia, mój przyjacielu.

Nazajutrz Henryk pospieszył do Ludwika, lecz jakże się zadziwił, gdy go znalazł, smutnym i zmienionym, na bladéj jego twarzy było znać ślady łez, w oczach jego malowały się cierpienia i rozpacz.

— Cóż ci to jest Ludwiku?

— Ah mój przyjacielu! mój drogi Henryku, już się wszystko skończyło! pozostały mi tylko cierpienia i śmierć.

— Ale powiedz mi cóż się u djabła stało! mówisz o zemście, o śmierci, cóż to wszystko ma znaczyć wczoraj? byłeś tak wesołym, szczęśliwym, a dziś...

— Wczoraj jeszcze marzyłem o Emilji, o szczęściu, dziś ocknąłem się ze snu, dziś już o tem myśléć nie powinienem.

— Jakto?.. wytłomacz się jaśniéj.

— Dziś rano pobiegłem do Emilji, im więcéj się zbliżałem się do jéj domu, tém silniéj serce mi biło, wystawiałem sobie przez przez drogę jak słodkie będzie powitanie, że szczęśliwie ukończyłem moje interesa, że już nic nie zdoła zachmurzyć naszego szczęścia. — Ale Henryku, czy uwierzysz czemu ja sam uwierzyć nie chciałem. — Wchodzę i cóżem zobaczył! Emilja siedziała obok Wsiejowskiego, radość jaśniała na jéj twarzy, szczęście błyszczało w jéj oczach!...

— A to widzę cóś podobnego jak z moją kawiarką, — ale cożeś uczynił?

— Przeprosiwszy że ośmieliłem się przerywać im tak rozkoszne chwile, wyszedłem.

— Toś bardzo głupio postąpił, — trzeba było naprzód Wsiejowskiemu, nogi połamać, potém powiedziéć Emilji historję o kawiarce, i wyjść trzasnąwszy drzwiami ażby wszystkie szyby wyleciały, — ale ten spróchniały oxeft!

dał mi słowo honoru że... potrzeba się pomścić, i to jak najspieszniéj — bądź zdrów.

— Gdziesz idziesz?

— Wyzwać go na pistolety;

— To do mnie należy.

— Niechże i tak będzie, ale jeżeli wyjdzie żywy, musi się ze mną strzelać.

— Będziesz moim sekundantem Henryku.

— A któżby inny.

— A więc idź i żądaj od niego w mojém imieniu zadosyć uczynienia, i to dziś jeszcze.

— Bardzo słusznie, honorowa sprawa nie powinna się odwłóczyć.

— A więc pistolety?

— Najlepiéj, trafisz do niego jak do stogu siana.

— Spiesz więc Henryku.

— Już idę, za pół godziny powrócę.

Henryk wsiadł w dorożkę, za chwile stanął przed domem pana Wsiejowskiego, i nie zważając na zapytania lokaja wpadł do pokoju.

— Dzień dobry, szanowny i honorowy człowieku.

— Sługa uniżony, rzekł niechętnie Wsiejow-

ski, czegóż pan żądasz, grzeczny panie Henryku.

— Ja, Henryk Agapit Włosek, z polecenia Ludwika Durandon, wyzywam Antoniego Wsiejowskiego aby o godzinie 3 po południu, stawił się w Bielańskim lasku, i zdał sprawę z niegodnych, a obrażających nas postępków, mówię nas, a to dla tego, że jeśliby ślepy los sprzyjał mu w walce z Ludwikiem Durandon, natenczas kawalerzysta Henryk Agapit Włosek ma sobie poleconą zemstę, a że, wspomniony Włosek, z łatwością muchę w powietrzu zastrzeli, ma więc nadzieję że potworny brzuch pana Antoniego Wsiejowskiego, będzie mu dostatecznym celem w którym kula jak w błocie uwięźnie. — Co wyraziwszy, mamy honor radzić mu aby napisał testament i wyspowiadał się jak najspiesznièj.

— Pan Antoni Wiejowski dziękuje za rady Pana Włoskowi, ale nie myśli ani się spowiadać, ani pisać testamentu, a również mając zaufanie w swojèj broni, żyć będzie i Emilja będzie jego...

— Chyba zapomnę którędy się pistolet nabija, przerwał Henryk z wściekłością. — Żegnam pana, oczekujemy go o 3ièj spodziewam się, że dotrzymasz słowa.

— Zaręczam honorem rzekł Wsiejowski.

— Przysięgnij się lepiéj na twój majątek, bo na honor, już ci nie wierzę...

— Pan mnie obrażasz, rzekł Wsiejowski tonem godności.

— Tem lepiéj, będziemy mieli więcéj powodów do strzelania się.

— Lecz nim przyjdzie do walki, podobne obrazy mogą być policzkiem spłacone; rzekł Wsiejowski.

— Nie radzę ci, odrzekł Henryk z uśmiechem, policzek wymaga odwetu, a przysięgam, żałowałbyś żeś poczuł rękę Agapita Włoska.

Do zobaczenia panie Wsiejowski, — czekamy cię o 3ciéj, tam ci będę służył na wszystkie bronie. Henryk powrócił do Ludwika, zastał go piszącego listy.

— A cóż Henryku, zapytał Ludwik.

— Przyjął wyzwanie, i stawi się na oznaczoném miejscu.

— To dobrze... rzekł Ludwik, teraz pozwól mi dokończyć listów.

— Kończ, ja tym czasem wypalę fajkę.

Ludwik pisał; musiało to być ostatnie poże-

gnanie z Emilją, bo często łzy błyszczały w jego oczach, Henryk puszczając gęste kłęby dymu, przechadzał się szerokiemi krokami, głębokie milczenie panowało w pokoju Ludwika, niekiedy tylko słychać było ciężkie jego westchnienie, i brzęk ogromnych ostróg Henryka.

— I ja bym powinien parę słów napisać do Julji, mruczał Henryk do siebie, biedna dziewczyna, wczoraj jeszcze mówiliśmy o weselu, a dziś może mówić będą o pogrzebie, tak to człowiek na świecie, dziś żyje jutro go djabli porwą. Ale Emilja! Emilja! a to drugi tom mojéj kawiarki, i jéj się widzę proby zachciało! zupełnie ta sama historja, brak tylko entreprenera; otóż to są kobiety! jak tylko zabrzęczysz złotem, mało ze skóry nie wyskoczą!... a potém się kłuj, rąb, strzelaj!... niech je piorun trzaśnie.

— Oznaczona godzina już się zbliżała, Ludwik zostawił listy służącemu, aby je za dwie godzin odniósł podług adresów, opatrzył pistolety i wsiadł w doróżkę z Henrykiem. Na Zakroczymskiéj ulicy spotkali Jasia.

— Agapitku, wołał Jasio, idę do ciebie, jeże-

li nie długo powrócisz, wezmę klucz od gospodyni, i będę na ciebie czekał w twojéj stancji.

— Idź do wszystkich djabłow, i tam poczekaj a może się prędzéj zobaczemy, odrzekł Henryk i kazał spiesznie jechać dorożkarzowi: — jedźże prędzéj, wleczesz się jak za pogrzebem.

Wkrótce stanęli w lasku Bielańskim, przeciwnik już na nich czekał. Po obojętném powitaniu, Wsiejowski zapytał.

O wiele kroków się strzelamy?

— O sześć, zawołał Henryk, w kawalerji się inaczéj nie strzelają.

— Dobrze więc, rzekł Wsiejowski spokojnie, pierwéj jednak nim przystąpiemy do walki, raczysz mnie posłuchać przez chwilę panie Ludwiku.

— Słucham, odpowiedział Ludwik.

— Czy znasz ją? rzekł Wsiejowski pokazując Ludwikowi miniaturę.

— Boże!... coż to ja widzę... to jest miniatura mojéj matki — jakimże sposobem dostała się w ręce pana.

— Mam ją od twojego ojca.

— Od mojego ojca! zawołał Ludwik, a łzy spłynęły po jego bladéj twarzy. — Czy go pan znasz — czy żyje jeszcze.

— Już nie żyje!... przed skonaniem polecił mi oddać ci tę miniaturę, opowiedzić ci wszystkie szczegóły twego urodzenia, i błagać cię o przebaczenie, za błędy których tylko nierozważna młodość była przyczyną. Nim więc jeden z nas żyć przestanie, chcę się uiścić z danego słowa twojemu ojcu.

Twój ojciec mając lat 26, podróżował z woli swoich rodziców, zwiedził Wiedeń, Berlin, Londyn, a najdłużéj zatrzymał się w Paryżu; tam poznał Julję Durandon, córkę Jubilera, uczuł ku niéj namiętną miłość, i ukrywszy swoje nazwisko, zamilczawszy o wielkim majątku swojego ojca, bywał w domu pana Durandon, naprzód jako jego przyjaciel, potém pozyskawszy miłość Julji, jako zięć. — Twoj ojciec pod pozorem ułatwienia interesów majątkowych, wyjechał do Warszawy, przysięgając Julji, że jak tylko będzie mógł najspieszniéj, powróci do Paryża i połączy się z nią nie rozerwanym węzłem.

Miał w istocie ten zamiar, bo prawdziwie kochał twoją matkę. — Ale powróciwszy do kraju, zmuszony wolą swojego ojca, pojął w prawdzie bardzo majętną kobietę, ale z nią je-

dnéj nawet chwili szczęścia nie doznał: po śmierci rodziców zostawszy panem znacznego majątku, doniosł twojéj matce o swojem małżeństwie, i przyłączył wexle na 50,000 franków jako dar przeznaczony na twoje wychowanie..

Nie wątpię że twoja matka, dowiadywała się o swoim uwodzicielu, ale znała go pod zmyślonem nazwiskiem,... znała go jako Lubosza, kupca z Warszawy... a on istotnie nazywał się...

— Ah! panie! wymień! go! niech wiem przynajmniej, komu jestem winien życie, i pozwol abym poszedł łzą synowskiéj miłości zwilżyć jego grobowiec.

— On się nazywał... Antoni Wsiejowski...

— Jak to! ty panie!... i w téj chwili Ludwik był w obięciach swego ojca...

— Drogi Ludwiku; zapomniéj o wszystkich twoich cierpieniach jakich stałem się przyczyna. — Emilja będzie twoją, — wie o wszystkiém — teraz możesz się domyśléć powodu miłego przyjęcia jakiego byłeś naocznym świadkiem. Nienawidziła mnie jak kochanka, teraz mnie kocha jak ojca.

— Tam do wszystkich djabłów! zawołał Henryk, czyliż zechcesz mi przebaczyć panie Wsiejowski, nie grzeczne czasem obejście się z tobą, ale jedynie przyjaźń dla Ludwika Darandon.

Ludwika Wsiejowskiego, powiedz panie Henryku, nie tylko ci przebaczam, ale nie przestanę błogosławić żeś był tak wiernym i stałym przyjacielem mojego syna.

*
* *

Nim upłynął miesiąc, Ludwik Wsiejowski zaślubił Emilję — a będąc panem znacznego majątku, mężem czułéj i cnotliwéj żony, los jego był godnym zazdrości, los którego wam z serca życzę, szanowni czytelnicy.

Jasio dorobił się wielkiego majątku i żył spokojnie na wsi. Spokojnie!... on? — lichwiarz?... czyliż tonącemu w miękkich puchach sumienie nie przerywało spoczynku?... nie!... bo on był z liczby tych których sumienie zawsze milczy.

Henryk także się ożenił i tym razem zupeł-

nie się poprawił. Często siedząc w swoim sklepie dowodził swoim przyiaciołom, że nie ma tego złego, któreby na dobre nie wyszło, bo proszę was, mawiał, ogródek na gnojowéj górze, w którym tyle doznałem przykrości, był podstawą mojego szczęścia, bo gdybym nie był w ogródku, nie byłbym się pobił, nie byłbym uciekł na Pragę, nie byłbym się kąpał, nie byłbym wyratował Julji, nie byłbym jéj poznał, nie byłbym się z nią ożenił, i nie siedziałbym teraz w sklepie. — A więc nie ma tego złego któreby na dobre nie wyszło.

KORNELJA.

Od tygodnia hrabia Reginald O'Sulivan żyn w Soisson w zupełnéj samotności. Miał o wtenczas porę rozmyślać nad niedorzecznością ubiegania się za kochankami ludzi mających przystęp do ministrów króla. Sam, odosobniony, zdaleka od Paryża i jego uciech, okupy-

wał wygnaniem zuchwałość sweich żądań. Margrabia de Charmaine nie mógł bez gniewu patrzeć na miłość jaką hrabia O'Sulivan publicznie okazywał dla uwielbianéj Kornelji, pierwszéj tancerki wielkiéj opery. Panna Kornelja, jak wszystkim było wiadomo, należała do margrabiego, ktery znaczne na nią czynił wydatki. Skoro więc młody Irlandczyk śmiał miłosném okiem spoglądać na piękną tancerkę, margrabia Charmaine nie mógł będąc żonatym dobyć szpady w obronie swojéj własności, ale wyrobił i otrzymał rozkaz od ministra wojny, na mocy którego hrabia musiał opuścić Paryż i udać sie do Soisson. Gniew hrabiego równał się śmiertelnym nudom które go pożerały; nauki nie miały dla niego żadnego powabu, tytoniu jeszcze wtenczas nie palono, mieszczanki małego miasta nie pociągały jego serca, jeszcze będącego pod panowaniem dam dworskich i piękności opery. Nie było środka aby się wyłamać z pod rozkazu ministra, jedno chwilowa tylko obecność w Paryżu, mogła pozbawić szlif, a hrabia irlaudzki będący w służbie króla, miał tylko szpadę za cały majątek.

Nudził się więc nielitościwie, i czasem po ośm-naście godzin sypiał.

Pewnego wieczora, przyszedł mu kaprys pójść na bal maskowy, który podczas karnawału często dawał przedsiębierca publicznych rozrywek, w dość szczupłéj sali. Bal maskowy na prowincji i do tego jeszcze w małém miasteczku, tworzy się w jednéj chwili; kilka domin, mnóstwo pasterek, i kilka fantastycznych ubiorów podług wyobrażeń miejscowych, otóż i wszystko.

Najczęściéj nudy panują na podobnych balach, szczupła orkiestra gra odwieczne tańce, które siedm lub ośm masek wykonywa z niechcenia; kilka dymiących kintetów pośród tumanów kurzu, wątpliwe rzuca światło, a na ławkach nie szczególniéjszéj czystości, drzémią matki szukając snu dla odmiany uciechy. Hrabia O'Sulivan; błąkał się jak pokutująca dusza, wychodził i wracał, myśląc o Paryżu w którego pysznych pałacach, tyle pięknych kobiet, zgromadzało się w téj chwili, myślał... i wzdychał. W téj chwili osoba mała, szczupła, lekka jak wietrzyk, ścisnęła go za rękę, opuszczając wszystkie maski które ją chciały zatrzymać.

Hrabia O'Sulivan, przez chwilę uważał ją w mil-

czeniu; kobieta ta oparła się na jego ramieniu; miała talję nieporównaną, nóżkę małą, uwięzioną w jedwabnym trzewiczku, wielkie żywe oczy błyszczały z pod maski.

— Jakże, czy długo we mnie będziesz się wpatrywał, zapewne zdaje ci się żeś mnie kiedy widział, ale niemożesz mnie poznać? Ja cię jednak znam dobrze, jesteś hrabia Reginald O'Sulivan, kapitan irlandzkiéj gwardji, wygnany do Soisson, za to żeś się odważył chcieć podobać kochance margrabiego de Charmaine. Widzisz jak wszystko wiem dobrze.

— To prawda, zachwycająca kobieto! ale dowiedz się także że ja podobno poznałem cię; czyli przypadkiem ty sama nie jesteś tą kochanką? Ah! powiedz Korneljo!... jedno słowo a uczynisz mię najszczęśliwszym z ludzi.

— Kornelja! ta którą tak kochasz?... czy też pisała do ciebie od czasu twego wyjazdu z Paryża.

— Niestety!... nie... odrzekł hrabia spuszczając głowę.

— A więc rozumiesz że panna nie mająca czasu napisać do ciebie listu, będzie go dość mia-

ła abyocztą przybyć do Soisson i to jeszcze w dniu opery?

— Nie jesteś Kornelją?... czego więc żądasz ode mnie.

— O tém się późniéj dowiesz, a teraz mówiąc szczerze, wyznaję ci bez ogródki że ja tu ciebie szukałam. I czegóż się tak dziwisz?.. czyliż tak mało jesteś przyzwyczajonym do podobnych wypadków, że ten cię tak bardzo może zadziwić?

— W istocie... ta mowa...

— Jest bardzo jasną. Byłam u ciebie, twój służący mi wskazał miejsce gdzie się znajdujesz, a które tak dla mnie jak i dla ciebie zupełnie nie przystoi, ale interes który mnie zajmuje tak jest nagłym, że przyszłam tu...

— Wszystko to jak widzę ma minę romansu.

— A to dla tego że dzisiejsze wypadki nie są poważniéjsze jak bajki. Ale tym czasem czas nagli, i traciemy na próżno drogie dla nas chwile. — Jesteś śmiały, nie prawda, i czasem podobają ci się szalone awantury?

— Zapewne, szczególniej gdy ty pani grasz w nich główną rolę.

— Powoli!... nie przyciskaj mnie tak mocno, przecież ja nie jestem Kornelją, którą tak kochasz!..

— Nienawidzę jéj!

— Już jéj nienawidzisz? otóż to owa gwałtowna miłość!... ale mniejsza o to, nie idzie tu bowiem o tancerkę, lecz jeżeli cię będę o jednę łaskę prosić, czy mi nie odmówisz.

— Nie.

— Potrzeba mi rycerza wiernego swojemu słowu, chceszże nim zostać na dwadzieścia cztery godzin, nie dłużéj, a może tylko na ten wieczór.

— Na tak krótko! zmartwiłaś mnie. — I cóż mam czynić?

— Towarzyszyć mi w téj chwili.

— Gdzie?

— Do Paryża.

— Jakto?... a moje wygnanie.

— Już cofasz słowo! czegóż się obawiasz, margrabiego Charmaine? nie będzie wiedzał o niczém, abyś tylko nie poszedł do Kornelji, a ministra wojny?... ja biorę na siebie ułagodzić jego gniew gdyby się o czém dowiedział.

— Ale któż ty jesteś... wieszczka...?

— Nie, kobieta, któréj jutro podziękujesz, bo ona ci zapewni szczęście.

— Już się nie waham... rozkazuj pani.

— A więc pójdź za mną. Ale pamiętaj hrabio, nie uchyl mi maski jeżelibym w drodze zasnęła, nie staraj się wybadać moich ludzi, zaufałam twemu słowu, do ciebie należy nie zawieść mego zaufania.

— Będę ci pani posłusznym.

— Dobrze, teraz okryj się płaszczem, i podaj mi rękę.

Hrabia O'Sulivan, wyszedł z balu. Przed drzwiami stał podróżny powóz zaprzężony w cztery konie, kapitan usiadł obok swojéj tajemniczéj towarzyszki. Do Paryża! zawołała i konie ruszyły gałopem.

Podczas drogi O'Sulivan probował dowiedzieć się o nazwisku téj zachwycającéj osoby, ale wszystkie jego usiłowania niszczyła przytomność umysłu dowcipnéj maseczki, jego proźby również były bezskutecznemi, wspomnienia jego zamilkły, bo głos który sądził za znany, zmieniał się ustawicznie za pomocą metalowéj

blaszki, którą piękna maska w ustach trzymała; po godzinnéj rozmowie, jego towarzyszka zamilkła, i oparłszy głowę na bocznych poduszkach karety, zasnęła mimowolnie.

Hrabia zdołał się jednak oprzéć swoim żądaniom i jego ręka nie dotknęła nawet maski. Gdy wyjechali z Soisson, już zaczęło świtać, pojazd pędził, nagle woźnica zatrzymał konie...

— Jesteśmy już przy bramie Paryża, gdzież pani teraz rozkaże jechać.

— Dowiesz się wkrótce... Teraz potrzeba się rozłączyć, panie hrabio.

— Jakto, już?... ale gdzież cię znowu zobaczę.

— Bądź spokojnym, oto jest twój płaszcz, okryj się nim jak kontrabandzista. Obiecałeś we wszystkiém być mi posłusznym, oto jest pora dotrzymania słowa, czy mi zawsze ufasz?

— Zawsze.

— To dobrze. Weź te dwa klucze, jak ósma godzina wybije na sąsiedzkim zegarze, pójdziesz drogą prowadzącą do tego zamku, który

widzisz tam między drzewami. Tym wielkim kluczem otworzysz drzwi pawilonu przytykającego do muru ogrodowego, i przejdziesz ciemne wschody, będące w końcu kurytarza; mały zaś klucz ułatwi ci wejście do wielkiéj i bogato strojnéj sali, otworz drzwi śmiało, a znajdziesz się w obecności kogoś... i zaręczam że nie będziesz się o to gniewał.

— Ale cóż to za komedja.. nie wiem...

— Czybyś się obawiał?...

— O wcale nie!

— Cóż cię więc wstrzymuje? idź, ja odpowiadam za wszystko, a nakoniec czyliż nie czujesz szpady przy twoim boku? Idź, ale pamiętaj nie prędzéj jak o ósméj, i nie daj się poznać czekając.

Hrabia ucałował podaną mu rękę, a pojazd znikł w cieniu drzew.

— Jakże tu wiele zachodu aby mi dać rendez-vous, rzekł do siebie.

Gdy ósma wybiła, hrabia udał się do zamku, i wykonał najściśléj wszelkie dane mu przepisy, — nic mu nie tamowało drogi, i gdy otworzył bez wachania wskazane mu drzwi, znalazł się sam na sam z panną Klarą Charmaine

siostrą margrabiego, krzyk podziwienia skonał na ustach hrabiego, ale młoda dziewica spała wsparta na bogatéj sofie. Stał naprzeciw niéj, milczący, wzruszony i zaledwie mogący oddychać, — Natenczas tysiące wspomnień owładło jego serce, Klara którą tyle kochał, spoczywała przed jego oczyma, jeszcze piękniéjsza jak w chwili gdy przez dziecinną sprzeczkę rozłączyli się na zawsze. — Te swieże usta które tyle razy przysięgały mu wieczną miłość, uśmiechały się we śnie, piękne błąd włosy, których pukiel dotąd jeszcze nosił przy swojém sercu, spuszczały się zniechcenia na szyję łabędzią. Reginald, czuł po swojem wzruszeniu, po gwałtownem biciu serca, że ją zawsze kocha. Kląkł przed nią, i biorąc jéj rękę długo ją do ust swoich przyciskał, podniósł się potém i chciał odejść, gdy panna Charmaine obudziła się, widok mężczyzny u jéj nóg zmięszał ją, ale poznawszy hrabiego O'Sulivan, zawołała Pan tutaj, czego tu szukasz?

— Przebacz mi pani, Klaro, ja nawet nie wiem jakim wypadkiem tu się znajduję o téj godzinie, nie mogę tego pojąć, ah! to być musi sen! Ale

czegóż się pani obawiasz? jestem u nóg twoich, uległy i żałujący, za godzinę może będę daleko od ciebie, pozwól mi przynajmniej mieć nadzieję żeś mi przebaczyła niegodne podejrzenia które poróżniły i oddaliły nas od siebie.

Hrabia był młody, wymowny, jakim jest każdy gdy namiętnie kocha, miał postawę błagającą, panna Charmaine kochała go prawdziwie, i często żałowała że nie przychodzi prosić jéj o przebaczenie które mu tak chętnie udzielić chciała. Godzina już upłynęła jak oboie kochankowie siedząc na jednéj sofie rozmawiali trzymając się za ręce. Czas ulatał, panna Charmaine mając słowo hrabiego i znając jego prawość, nie chciała go oddalić, aż wszyscy ludzie w zamku którzy się bardzo późno kładą udadzą się na spoczynek. Hrabia kochał ją miłością czystą, umiał więc ją szanować. Gdy to działo się w zamku, margrabia Charmaine towarzyszył pannie Korneljі przy rozbieraniu. Nymfa powróciła z opery, poczém siedząc na przeciw siebie za stołem zastawionym najwytworniéjszemi potrawami i najdelikatniéjszem winem, prowadzili wesołą rozmowę.

— I cóż margrabio, jestżeś zadowolony z two-

jéj podróży do Wersalu? masz że nadzieję wkrótce zostać marszałkiem?

— To być może, mam przyrzeczenie królewskie.

— Czyliż już ułożyłeś jaki plan względem zamęścia twojéj siostry, panny Charmaine? zdajesz się być znudzonym tak trudnym wyborem.

— Dzięki Bogu nie ma już o tém mowy, i nic mi nie wspomina w tym przedmiocie.

— W takim wypadku dla czegoż jéj nie zaślubisz temu którego kocha.

— Komuż to?..

— Hrabiemu Reginald O'Salivan.

— Mojemu rywalowi! — nigdy.

— Dzieciństwo!.. owszem, tym sposobem będziesz spokojniéjszym, połączony z twoją siostrą, młodą, piękną i bogatą, kochając ją do szaleństwa. nie będzie miał zapewne czasu myśleć o twojej kochance, co do mnie, muszę ci szczerze wyznać, że hrabia bardzoby mi się podobał, i gdyby powrócił do Paryża, nie ręczę za moją wierność, a gdyby się ożenił...

— Czy żonaty czy kawaler, za pierwszym spojrzeniem na niego będziesz moja droga zaprowadzoną do Fort-l'Eveque.

— Jakto? więc rozumiesz że z tancerką można tak się obchodzić jak z kapitanem? Minister może go czasem skazać na wygnanie, ale potrzeba podpisu krola aby wydrzéć kulisom boginię Olympu. Żartujesz margrabio!...

— Ale dla czego tak pragniesz tego małżeństwa.

— Przez chęć czynienia dobrze w naszém szaloném i niestałém życiu, rzadko zdarzają się do tego sposobności, byłoby więc grzechem wydarzonę opuszczać. — Mówmy rozsądnie, pozbędziesz się rywala niebezpiecznego, a pozyskasz przyjaciela który się poświęci twojéj przyjaźni, bo będzie ci winien swoje szczęście. Jakże?.. jeszcze się wachasz?...

— Zkądże wiesz o uczuciach hrabiego?

— Czyliż mi sam nie mówił że kocha pannę Charmaine i musi to być prawdą, kiedy się ośmielił powiedziéć to téj, któréj względów szukał.

Kornelja była zachwycającą po wieczerzy, margrabia wiele miał dla niéj słabości, małżeństwo o którém mówiono chciał on dawno przyprowadzić do skutku, ale zazdrość i zaloty hrabiego do Kornelji zerwały wszystko. Nad

ranem margrabia był gotów oddać ręke swéj siostry hrabiemu, jeżeli przyjdzie o nią prosić. Właśnie też to Kornelja przewidziała, a znając miłośc hrabiego dla panny Klary, pałając żądzą prowadzenia miłosnych intryg, postanowiła połączyć ich na prędce. Pawilon w którym teraz przemieszkiwała młoda Charmaine, był przez długi czas tajemniczym domkiem w którym margrabia niewidziany przyjmował Kornelję po wyjściu z opery. Gdy go potém jego siostra zamieszkała, zapomniano odebrać klucze które tancerka posiadała, a które jakeśmy widzieli bardzo stały się użytecznemi.

Kornelja wybiegła na chwilę z buduaru, i napisawszy kilka wierszy, rozkazała jednemu ze swoich lokajów, aby się udał do zamku Charmaine i czekał przy drzwiach ogrodu i oddał hrabiemu O'Sulivan, który zapewne nie długo z tamtąd będzie wychodził.

Rozumiała ona że Reginald będzie bawił przy Klarze, ale się zawiodła, sądziła ona bowiem o miłości jak tancerka, z sercem niestałém i zalotném.

Gdy hrabia O'Sulivan odebrał list czytał co następuje.

Panie hrabio.

Nie przypominasz sobie zapewne kobiéty którąś przeszłego roku obronił przy wyjściu z balu maskowego, przeciw kilku muskieterom zagrzanym winem, byłeś ranny w jéj obronie. — Tą kobietą jestem ja — Odtąd chciałeś pozyskać moję miłość, ale ja zaciągnęłam dług wdzięczności i muszę ci go lepiéj odpłacić niżeli moją osobą. Kochasz pannę Charmaine i zasługujesz na jéj miłość. Zapewne ci już przebaczyła. Margrabia zgadza się na twoje małżeństwo, proś go tylko o jéj rękę. *Jeszcze raz odpowiadam za skutek.*

Kornelja tancerka wielkiéj opery.

Tego jeszcze wieczora margrabia dał słowo hrabiemu O'Sulivan, rozkaz wygnania usunięto. Reginald żył jak w niebie przy boku Klary, a Kornelja jako Djana tańczyła w wielkiéj operze.

ANTONIO GASPARONI

Rozbójnik rzymski.

Pewnego wieczora przybyłem do Teracina; nucąc marsza z Fradiawola. Znalazłem w pół wygłodzonego gospodarza, jakich często znajdujemy na wielkim gościńcu i prosiłem go, żeby mi opowiedział jaką historję o zbójcach, ale jego głowa równie była próżną jak jego kuchnia i piwnica, nie

umiał mi nic powiedzieć. Jakto, rzekłem sam do siebie, i tutaj już panuje prozaiczne bezpieczeństwo. Można więc tu podróżować jak z Paryża do Rozuen, z workiem w ręku, nie narażając się na odebranie go za pomocą odwiedzionego pistoletu?. Więc Fra-Djavolo nie zostawił następców?

Tak to znikają wielkie dynastje! Cóż się teraz stanie z biednemi Anglikami, którzy bandytom w moczarach pontyńskich więcéj złota oddawali niżby potrzeba było na ich osuszenie! z temi Anglikami, który tak lubią traiczne wypadki na gościńcach i którzy zawsze w dzienniku swoim zostawiają rozdział z napisem: "Napady rozbójników" którzy swoje powozy podróżne opatrują jak bastjony? Dzięki świętemu ojcu, małżonki i siostry hugonotów nie będą dostawały jadąc przez *via Appia* ataków nerwowych; dragoni papiescy cięciem pałasza wyklęli rozbójników, w wąwozach Terracina godzina połnocna jest teraz taką jak wszystkie inne godziny, dwanaście uderzeń kiesz onkowego repetjera podróżnika angielskiego, nie ogłaszają już zaczęcia trajedji. — Posłuchajmy teraz

do jakich surrogatów uciekają się biedni Anglicy. Przed niejakim czasem szlachetny lord S... zjadłszy porządną wieczerzę w Terracina, posłał przodem na gośc iniec dwóch swoich służących, którzy przebrani j ak rozbójnicy, mieli napaść na niego. Wszystko stało się jak było umowione. Z obu stron wystrzelono ze dwadzieścia ślepych nabojów, ale na nieszczęście w jednym z pistoletów milorda zabłąkała się kula, i jeden z przebranych służących został w nogę raniony, co jego towarzysza tak bardzo przestraszyło, iż uciekł co tchu, i wpadł w bagno, w którém może byłby zginął, gdyby g o kilku nadbiegłych dragonów nie wydobyło. Chciano go na miejscu rozstrzelać, ale szlachetny lord nadbiegł, chcąc po angielsku rzecz całą wyjaśnić. Dowódca dragonów był rodowitym Francuzem, nienawidził wszystkich Anglików, i lubił im dokuczać. Udał jak by nie rozumiał po angielsku i uważał lorda, który ujmował się za bandytą, jako współwinowajcę, kazał mu usta zakneblować, chociaż Anglik wyczerpnął całą gramatykę Veneroniego, aby ile możności dać się zrozumieć i wyjaśnić prawdziwe zdarzenie. Zraniony mniemamy roz-

bójnik, jego towarzysz wydobyty z bagna i jego wysokość szlachetny lord, zostali zamknięci w jakiejś stajence, pod strażą trzech dragonów. Ze świtem szlachetny lord napisał do swego konsula, i komisarza policji kardynała Sumaglia. Na nieszczęście, konsula i kardynała niebyło, ale sekretarz tego ostatniego, załatwił tę rzecz spokojnie, kazawszy sobie zapłacić pewną summę, którą Anglik z chęcią wyliczył: zranionemu słudze musiano odjąć nogę.

Pontyńskie bagna zupełnie są bezpieczne, udajmy się więc do Viterbo. Tu spotyka podróżnik zaraz coś godnego widzenia. W święto, to jest prawie codzień, widać tu około pięciu tysięcy mieszkańców Viterbo, osłonionych szerokiemi płaszczami, przechadzających się bezczynnie jakby na mannę z nieba czekali. Prawie wszyscy zuchwale żądają jałmużny, skoro się ktoś pokaże, z którego powierzchowności sądzić można że ma pieniądze; biją się o jednę bajokę. Podróżny który z ubóstwa mieszkańców, wnosi o niebezpieczeństwie gościńców, bardzo naturalnie czyni, jeśli wyjeżdzając z Viterbo opatrzy swoje pistolety. Prócz tego zaraz przy bramie miasta, wznosi się olbrzymia góra, która w swoim okro-

pnym lesie, mieści mnóstwo pniów wydrążonych i krzyży, które przypominają rozmaite morderstwa. Tu nie ma dragonów papieskich, garnizon Viterbo, składa się z czterech suchych żołnierzy, widmom podobnych, i nieobecnego dowódcy. Wyjeżdża się z miasta w powolnym powozie który jeszcze przed świtem na górę się wdrapuje; dosięgamy szczytu, gdzie zbójcy mogący napaść na podróżnika, mają za pomocników chmury. Żadnego żyjącego stworzenia nie widać, na tym starożytnym cmentarzu tylu podróżnych, nakoniec po sześciu godzinach powolnéj jazdy, przybywamy do Rosciglióne. Taka podróż mogłaby do rozpaczy przyprowadzić miłośnika awantur.

Na chwilę tylko wątpiłem o moralności mieszkańców Viterbo, było to przy wschodzie słońca, na szczycie góry; moi towarzysze podróży zwrócili moją uwagę na pięciu ludzi z strzelbami, w głębi lasu. Patrzyli oni bacznie na nasz powóz, sądziłem że widzę obraz Salvatora Rosy. Na zapytanie moje odpowiedział pocztyljon, że to są strzelcy, i bezwątpienia miał słuszność. Ale któż mógł nas zapewnić że ci strzelcy nie zmienią się nagle w ban-

dytów, wśród lasu, na widok ciężko obładowanego powozu? Cóżby narazili, gdyby nagle zmienili rzemiosło? mieli broń w ręku, samotność miejsca, była niebezpieczném pokuszeniem dla pięciu w łachmany ubranych strzelców, którzy na niepewną zwierzynę czatują. Ale cześć prawości mieszkańców Viterbo, będzie ona dla mnie odtąd przysłowiem. Trzej strzelcy odwrócili się od nas i zeszli kamienistą scieszką prowadzącą do doliny, w któréj drzémią ciężkie wody jeziora Vico.

Już więc miałem opuścić Włochy, nie zobaczywszy ani jednéj twarzy rozbójnika. Był to dla mnie jakby już wygasły ród, a jednakże przeznaczone mi było, zobaczyć ostatniego bandytę, tak jak Cooper zobaczył ostatniego Mochikana.

W Civita Vecchia siedzieliśmy przy stole, wiele mówiliśmy aby zapomnić apetytu. Ze dwadzieścia razy już wszelkiemi włoskiemi djalektami zażądałem cokolwiek do zjedzenia, ale napróżno.

Zażądałem rachunku, podano mi go, musiałem zapłacić sześć paoli, za to że czekałem na

obiad trzymając serwetę na kolanach. Oberżysta, na usprawiedliwienie się powiedział mi, że wszystkie jego zapasy, zabrała angielska rodzina złożona z piętnastu członków, która stanęła w oberży. Prosiłem go o pokój i łóżko, ale ostatnie łóżko, zabrał już jakiś admirał...

— Przejdę się trochę po mieście, rzekłem, cóż jest ciekawego w Civita Vecchja?

— Zupełnie nic, proszę pana, odpowiedział gospodarz, ale jeżelibyś pan otrzymał pozwolenie obejrzenia cytadeli, zobaczyłbyś tam sławnego Antonio Gasparoni bandytę z Terracina, i z trzęsawisk pontyńskich.

— A do kogóż mam się udać o to pozwolenie.

— Do pańskiego konsula, on je panu wyjedna bez trudności.

Istotnie dostałem zaraz kartę wnijścia, i oficera papiezkiego za towarzysza.

Cytadela w Civita Vecchia zbudowaną była przez sławnego Michała Anioła, który ponieważ był wszystkiém, był zatém i inżynjerem, jest ona w majestatycznym stylu jego fresków i po-

sągów. Cytadela broni się sama, nie ma ona ani żołnierzy, ani dział, stawia ona nieprzyjacielowi tylko herb papiezki błyszczący nad bramą, to samo zastępuje już bastiony i garnizon.

Po drodze opowiadał mi towarzyszący oficer o sławnym Antonio Gasparoni, i jego 48 morderstwach. — Istotnie okropnie jest być w bliskości tego strasznliwego bandyty, rzekł on. Od siedemnastu lat pustoszył on ziemię rzymską; posłuchaj pan najokropniejszego z jego przestępstw.

Na drodze do Neapolu, napadł on na powóz Anglika, który podróżował z swoją córką, zabrał mu wszystkie pieniądze, i puścił, ale córkę zatrzymał; była to młoda nadzwyczajnéj piękności dziewica. Nieszczęśliwy ojciec przybywszy do Rzymu, naznaczył nagrodę za głowę zbójcy. Duma Gasparoniego oburzyła się przeciw temu krokowi, jeden Anglik śmiał naznaczać cenę na głowę sławnego dowodzcy, który wypowiedział wojnę Papieżowi, i przeszło dwadzieścia bitew stoczył z jego dragonami. Było to zuchwalstwo które jak powiedziałam, obraziło dumę zbójcy. — Pewnego dnia lord otrzymał w Rzymie szkatułę pod swoim adresem,

otworzył ją i znalazł głowę swojego nieszczęśliwego dziecka.

To opowiedanie dreszczem mnie przejęło, żałowałem już że wszedłem do cytadeli; ten pomnik Michała Anioła, był już w moich oczach tylko klatką tygrysa, ale ciekawość zwyciężyła przestrach, i poszedłem daléj...

Mur z dwudziestu okienkami więzień, ukazał mi się po lewéj stronie, po prawéj znajdowały się okna wychodzące na dziedziniec, w téj galerji, około dwudziestu zbójców przechadzało się w tę i ową stronę; gdy wszedłem, wstrzymali kroku, musiałem rozśmiać się na myśl, że w ten sposób przymusiłem niejako bandę Gasparoniego do zatrzymania się. Powitali mię grzecznie, co mię nieco uspokoiło, bo przyznam się, że mi nie najlepiéj było na sercu, w tém straszném towarzystwie. Pośpieszyłem zapytać o Gasparoniego i natychmiast wskazałały mi go wszystkie palce. — Stał w drzwiach swego więzienia. Nie sądził potrzebą zbliżyć się do mnie, poprzestał na powitaniu mnie przyjaźnie. Zacząłem rozmowę nic nie znaczącém pytaniem, przyczém starałem się nadać gło-

sowi mojemu moc na któréj mu na nieszczęście zupełnie w téj chwili zbywało. — Jak się macie Gasparoni, zapytałem.

— Każdy ma się źle w więzieniu, odpowiedział wzruszając ramionami, które to poruszenie było u niego zwyczajném.

— Dałeś się schwytać papiezkiém dragonom?

— Żaden śmiertelny nie zdołałby mnie schwytać, poddałem się dobrowolnie z moją bandą„ przyrzeczono mi wolność, zostawiono mi tylko życie, a więc nie dotrzymano słowa.

Oficer który mi towarzyszył, wziął mnie na stronę, i rzekł. Opowiem panu jak się rzecz ma. — Gasparoni znudził się życiem które od lat siedemnastu prowadził, pewnego dnia przyznał się jednemu plebanowi wiejskiemu, czém jest, i zarazem oświadczył że chce porzucić rozbójnicze rzemiosło. Pleban przyrzekł napisać do papieża, prosząc o przebaczenie dla Gasparoniego, i pozwolenie powrócenia na łono społeczeństwa. Gasparoni położył warunek aby jego banda miała udział w przebaczeniu. Rozpoczęły się układy. Rządowi naszemu wiele na tém zależało żeby się pozbył téj bandy, pustoszyła ona

gościniec do Neapolu, napadała i zabijała wszystko i popełniała tysiączne zbrodnie; posyłano przeciw zbójcom żołnierzy, którzy jednak dzielili się z niemi zdobyczą, zamiast przeciw nim walczyć. — Wieśniacy trzymali stronę zbójców, bo także mieli udział w zdobyczy, tylko papiescy dragoni nie dali się im uwieść, ale góry podawały zbójcom łatwe schronienie, w które nie mogła dostać się jazda. Postanowiono przeto za pośrednictwem wspomnionego plebana układać się z Gasparonim i przez tego podano mu następujące warunki. Darowano Gasparoniemu życie, aby miał czas żałować za swoje grzechy, miano mu wszystko przebaczyć, ale powinien był z całą swoją bandą dobrowolnie jako więzień udać się do cytadeli Civita Vecchia.

Przebiegły Gasparoni długo się wachał, pleban używał całego swego wpływu na niego, przyrzekł mu jak najgorliwiéj wstawić się za nim, i zapewnił, że drzwi więzienia otworzą się natychmiast, skoro wejdzie w nie jako żałujący chrześćjanin. Gasparoni znudzony jak mówiłem życiem rozbójniczém, uległ nakoniec. Jego towarzysze oddawna przywykli być mu ślepo po-

słusznemi, poszli za nim dobrowolnie do więzienia. Od kilku lat czekają tu na ułaskawienie, ale wątpię ażeby je kiedy otrzymali, rząd dość już uczynił, zostawiając im życie, więcéj niepowinien czynić, bo to są zbyt niebezpieczni ludzie.

Zbliżyłem się znowu do Gasparoniego, który swojéj postawy nie zmienił. Nie jest on podobny do zbójcy teatralnego, ma twarz łagodną, rysy regularne i wyraz w nich dowcipny, włosy jego są czarne, połyskujące, długie i niedbale w tyle głowy związane, mówi przyjemnie, przy tém mało robi poruszeń, sprzecznie z wszystkiemi Włochami, którzy bardzo są w tém rozrzutni, ale jeśli kto zuchwale pyta, albo przymusza go do odpowiedzi, która mu jest nie przyjemną, wtedy oblicze jego staje się groźném, jego oczy płomień buchają, usta ściągają się konwulsyjnie, mowa jego staje się ognistą, słowem wtedy widać w nim zbójcę, który 48 morderstw spełnił.

— Jak się nazywasz istotnie, zapytałem, mówiono mi, że twoje właściwe nazwisko jest Barbonne?

— To jest właśnie mój przydomek w górach, istotne moje imie jest Antonio Gasparoni.

— Zjednałeś sobie wielką sławę, mówią otobie jak o Kaliguli, Spartaku i innych sławnych twoich ziomkach, którzy wojnę wypowiedzieli Rzymowi.

Uśmiechnął się i ukłonił z godnością.

— Jaki powód skłonił cię do chwycenia się roz-bojów.

— Kłótnia w Neapolu.

— Wistocie, drobna przyczyna do zerwania ze społeczeństwem.

— Ale w téj kłótni zabiłem mego przeciwnika.

— To znów co innego. Jak długo byłeś rozbójnikiem.

— Siedemnaście lat.

— Masz jakie rany?

— Wszędzie.

— A więc często walczyłeś?

— Istotnie dość często!

— Z milicją papieską.

— Z milicją?... nie!—ściągnął ramionami z pogardą — ale z dragonami.

— Mówiono mi o twojém zdarzeniu w chatce węglarzy;"(jego oko zabłysło, twarz zasępiła się, i wdzięczen byłbym ci gdybyś mi chciał je o-powiedzieć.

Cała banda zgromadziła się koło nas, aby u-

słyszéć z ust dowódcy opowiadanie tego wypadku.

— Siedmnastu było węglarzy, zaczął Gasparoni, przedali mnie żołnierzom papieskim, miałem ich za moich przyjaciół, biesiadowaliśmy wesoło w ich chacie, nie postawiłem wcale straży, — wielki to błąd mój panie, — ale, mówiłem sobie zawsze, że węglarze, są to poczciwi ludzie. Słuchaj pan daléj, wśród nocy usłyszałem kroki, kroki żołnierzy, moje ucho rozeznaje ich o pół mili. Zdradzeni jesteśmy, towarzysze, zawołałem! skoczyliśmy do broni. Papiescy byli tylko o trzydzieści kroków od nas. Nas było dwunastu ich trzydziestu. Za pomocą kul zrobiliśmy sobie przejście, ja sam zabiłem czterech moją ręką, byłem ranionym w ramie, oto tu! papiescy przepuścili nas, nie schwytali ani ubili żadnego, bo nie umieją strzelać; — gdyby to byli dragoni, żadenby z nas nie uszedł. Ale słuchaj pan daléj, w trzy dni potém, zstąpiliśmy w nocy z gór, poprowadziłem moich chłopców do chaty węglarzy: spali, łotry. Głos w chacie zapytał kto puka do drzwi: Otwórzcie, odpowiedziałem, to wasi przyjaciele, żołnierze, — nie otwierajcie! zawołał głos wewnątrz, to Gasparoni! Ale ja wybiłem drzwi, wściekli wkroczyliśmy, i wymordowaliśmy wszystkich,. To było sprawie-

dliwie, nie prawdaż? musieliśmy ich zabić, nędzników którzy nas zdradzili. Policzyłem trupów, było ich tylko czternastu, przeszukałem wszystkie kąty, nic nie znalazłem — trzej umknęli.— A więc dzieło zemsty przez pół tylko było dopełnione. Płakałem z wściekłości. Znajdę ja ich, rzekłem do moich towarzyszy.całe Włochy zwiedzę aby ich znaleść. We dwa lata poźniéj, wieczorem, chcąc się posilić napojem, wstąpiliśmy do chatki samotnie leżącéj nad morzem. Około stołu siedzieli wieśniacy, oko moje bystrém jest w wyśledzeniu nieprzyjaciół, w kąciku dostrzegłem trzech węglarzy, oh! jakże byłem uradowany. — Mam więc ich nakoniec,rzekłem sam do siebie,—do mnie tu, zawołałem, do mnie! niech wam się przypatrzę. Boicie się?—łotry drzały, —długo was szukałem, mówiłem daléj uśmiechając się pogardliwie. Rzucili mi się do nóg błagając o łaskę. Skinąłem tylko na mojego kata, a trzy-krotny wystrzał z pistoletu pozbawił ich życia. Ja rozlewam tylko krew w bitwie, inaczéj nikogo dotychczas nie zabiłem, ani nawet żadnego z nikczemnych węglarzy, którzy nas sprzedali.

Towarzysze Gasparoniego potwierdzili jego słowa skinieniem głowy.

— Dużo o tobie mówią na świecie, rzekłem znowu.

— Wiem o tém, opowiadają o mnie wiele kłamstw.

— A o téj młodéj Angielce, któréj ojciec naznaczył cenę na twoją głowę?

— To jest fałsz, odpowiedział przerywając mi nagle, nigdy nie kazałem kobiét zabijać.

— Ale zaprowadziłeś ją w góry?

Uśmiechnął się na to zapytanie i przybrał minę młodego eleganta, który milczeniem więcéj mówi, niżby mógł powiedzieć.

— Czy nie żałujesz żeś dobrowolnie wyrzekł się życia niezawisłego? i cóżbyś teraz uczynił gdyby cię wypuszczono?

— Zostałbym uczciwym człowiekiem, wróciłbym do Neapolu i pracowałbym.

— Takie życie nie mogłoby ci się podobać, masz przywyknienia.....

— Nie mój panie, życie w górach nudzi mnie, doświadczyłem go przez lat siedemnaście, byłem młody, prożniactwo było moją roskoszą. Ale teraz jestem stary, rany mi dokuczają, potrzebuję spoczynku.

— Czy mógłbyś zaręczyć i za twoich kolegów.

— Za wszystkich!

— Czy między wami znajduje się wasz kat? ten który zabijał na twój rachunek?

— Oto jest.

Wąż któryby nagle przyczołgał się ku mnie, nie byłby mnie bardziéj przestraszył; ten okropny człowiek stał przy mnie, ramie jego dotykało mojego, okropna postać, głupota zbrodni przemawiała z jego długiego, suchego, bladego oblicza, oko jego błędnie błyszczało; patrząc na mnie zdawał się liczyé guziki u mojéj sukni. Jak się nazywasz? zapytałem.

— Geronimo! odpowiedział, nie podnosząc oczu i zaledwo otwórzywszy usta.—Więc to ty byłeś oprawcą.

— Tak panie.

— Często zabijałeś?

— Ile razy mi kazano.

— Wątpię żebyś mógł dostać ułaskawienie.— ściągnął ramiona obojętnie i daléj liczył guziki u mojego surduta.

Obróciłem się do innych i rzekłem. Zdaje się że wam tu dobrze i nie chudniecie w więzieniu. Jeden z bandy, dobréj tuszy człowiek, odpowiedział: Dobrze nas karmią,dostajemy mięso, ryby, jarzynę, co tylko można żądać, i prócz tego, dwa paoli dziennie.

— Rząd czyni to z wyrachowania,rzekł do mnie Gasperoni.Ci którzy bawią się naszém rzemiosłem, dowiadują się, że udawszy się dobrowolnie do więzienia, mogą liczyć na dobrą strawę i wygodne posłanie, co w górach nie zawsze się znajdzie.

Nim opuściłem więzienie, raz jeszcze badawczém okiem spojrzałem na całą gromadę;oprócz dowodcy i oprawcy niebyło odznaczającego się oblicza,były to zwyczajne twarze,bez wyrazu, tak że możnaby ich wszystkich za uczciwych mieszczan uważać. Bezwątpienia wszyscy ci zbójcy, umrą w cytadeli oczekując na ułaskawienie, i tym sposobem zniszczoną będzie ostatnia banda, która pustoszyła gościńce i przez tak długi czas prowadziła wojnę z rządem rzymskim.

SPIS RZECZY

W TOMIE VI ZAWARTYCH.

Antonio Gasparoni. . . . . 199.
Gretna-Green. . . . . . 3.
Henryk Agapit Włosek(orginalne.) . 76.
Kornelja. . . . . . . 184.
Modne małżeństwo. . . . . 56.
Sieroty z Trouville. . . . . 40.
Urojenie. (w.) W. Wróblewski . . . 55.